

szturm.com.pl

SZTURM

miesięcznik narodowo-radyczny nr 7/2020 (70) ISSN 2450-5439



SZTURM.COM.PL

Spis treści

Grzegorz Ćwik - Komentarz wyborczy	3
Klasizm.....	3
Polityka?.....	9
Konfederacja.....	10
Wybory, wybory	13
Grzegorz Ćwik - Nie pytaj o nią.....	13
Grzegorz Ćwik - O przyszłość nacjonalizmu. W odpowiedzi na tekst Pawła Suchodolskiego	17
Radosław Biały - Recenzja „Niemieckiego asa pancernego”	27
Radosław Biały - Tadeusz Zubiński, Błękitna Dywizja. Hiszpańscy sojusznicy Hitlera	31
Monika Dębek - Wypalenie w życiu nacjonalisty	36
Witomysł Myduj - Nieświadomość zbiorowa źródłem Tradycji w myśli C.G. Junga.....	39
Jarosław Ostrogńew - Co czytać? Subiektywny wybór literatury współczesnej. Część II.....	44
Michał Ostrzycki - Reforma głoszenia przekazu a zdrada w środowiskach nacjonalistycznych XXI wieku	52
Patryk Płokita - Lisowczycy w kominiarkach. Część 1.....	58
Maksymilian Ratajski - Dość tęczowej bezczelności.....	65
Paweł Suchodolski - Przegrana dekada 2010-2020	70
Norbert Wasik - O duch dawnego Zakopanego... ..	76
Oleś Wawrzkowicz - Bądź wierny. Idź.....	83
Oleś Wawrzkowicz - Koncepcje przemian społeczno- gospodarczych w doktrynie politycznej generała Charlesa de Gaulle'a	86

Grzegorz Ćwik - Komentarz wyborczy



Wybory, wybory i po wyborach. Kolejne „święto demokracji” za nami, a efektem drugie 5 lat rządów Andrzeja Dudy. Jak zawsze wybory nie tylko są ciekawe ze względu na przebieg i wynik, ale także ze względu na szereg społecznych i publicznych konsekwencji. Towarzyszące emocje takim wydarzeniom pozwalają uchwycić prawdziwe podziały, różnice ideologiczne i polityczne etc. Interesującą dla nas kwestią jest także ocena zachowania i decyzji Konfederacji, jak również samego stanowiska nacjonalistów wobec wyborów, zwłaszcza w kontekście 2 tury wyborów. Nie mam zamiaru pokusić się o pełną analizę wyborczą, ale skupić chciałem się na kilku interesujących nas aspektach i zjawiskach.

Klasizm

Swego czasu na murach polskich miast popularne było graffiti „walka klas trwa”. Dziś termin ten kojarzy się z ustrojem słusznie minionym. I właściwie tylko z nim. Przecież mamy liberalizm, demokrację, wolny rynek, gdzie tu miejsce na walkę klas rodem z koncepcji staruszka Marksa? A kto powiedział, że walka klas musi być marksistowska i prowadzona akurat z punktu widzenia determinizmu dziejowego i sprawiedliwości?

Walka klas trwa i jest to walka prowadzona przez intelektualne oraz ekonomiczne elity obecnego systemu przeciwko tym, którzy są biedni, poszkodowani przez system, marginalizowani i wykluczeni. Okres wyborczy, a właściwie powyborczy daje zazwyczaj aż nadto dowodów na powyższe twierdzenie.

Już kilka minut po publikacji wstępnych wyników mogliśmy się dowiedzieć, że na Andrzeja Dudę głosowała wieś i małe miasteczka, głównie ludzie starsi i w średnim wieku, a także – o zgrozo! – ludzie z wykształceniem podstawowym lub średnim, oraz ci generalnie gorzej sytuowani materialnie.

Swego czasu w numerze „Nowego Obywatela” poświęconym peryferiom padło kapitalne stwierdzenie – prawdziwy rasizm III RP to ten skierowany wobec wsi, małym miejscowościom i ich mieszkańcom. To ich samozwańcze elity intelektualne i moralne obecnego systemu uznały za gniazdo zabobonu, reakcji, zacofania, oraz – jakżeby inaczej – nieporadności, „roszczeniowości” i braku chęci do pracy. Wypadnie nam się w pełni zgodzić z tym twierdzeniem. III RP to państwo walki klas. Ta jednak narzucona została przez elity wszystkim tym, którzy są na dole, a w pierwszej linii tym, którzy ponieśli i ponoszą koszty zbrodniczych „reform” Balcerowicza i jego następców. Pisaliśmy już zresztą o tym w „Szturmie” nieraz. Elita to ci nowocześni, wykształceni, oświeceni, otwarci i tolerancyjni. Ciemna masa ze wsi i małych miast, bez studiów, koneksji i

znajomości to hołota, pełna religijnej dewiacji, ograniczenia, uprzedzeń i zacofania.

Tak długo jak owi „homo sovieticus” (wprowadzeniem tego terminu wedle liberalnej wykładni do obiegu publicznego ks. Józef Tischner na zawsze zhańbił swe nazwisko) głosowali tak jak im narzucały media, partie, telewizje i wszelkie autorytety, tak długo mówiono o sukcesie transformacji demokratycznej w Polsce. W końcu jednak w roku 2015 PiS wyczuwając doskonale nastroje społeczne postawił na kampanię skierowaną nie do „młodych i przedsiębiorczych”, ale do milionowych mas, które od kilku dekad były właściwie nieobecne w polityce, historii i dyskusji. Co więcej, PiS nie tylko obiecał określone reformy socjalne, ale także je zrealizował! Tym samym upodmiotowieniu uległo kilka, a może i kilkanaście milionów Polaków i Polek, którym nie tylko przywrócono godność, zabezpieczono w niemałym stopniu byt, ale przede wszystkim pokazano, że ich głosy liczą się tak samo, jak głosy młodych, wykształconych magistrów filozofii, kulturoznawstwa i innych jakże potrzebnych kierunków. Tego właśnie najbardziej nie mogą przeboleć elity. Tego, że do tej pory powolni im potomkowie chłopów pańszczyźnianych śmieli się zbuntować i nie wybrać po raz kolejny demokratycznej, liberalnej i europejskiej partii – Platformy, a „faszystowską” i „autorytarną” – Prawo i Sprawiedliwość. Od tego czasu nienawiść klasowa na stałe zagościła w mediach liberałów – NaTemat, Gazecie Wyborczej, Najwyższy Czas i inne publikatory prawie codziennie wylewają swoje histerie na ciemny lud, który daje się „przekupić”. Bo przecież kiedy liberałowie głosują na swoje partie oczekując, że te zrealizują ich postulaty, to wcale nie jest przekupstwo. Podobnie jak każda inna sytuacja, gdy ktoś głosuje na daną opcję polityczną, bo uznaje że na tym skorzysta – na polu ekonomicznym, kulturowym czy jakimkolwiek innym. Jednak w liberalizmie wrogiem numer jeden w ramach walki klas są ci biedniejsi, gorzej wykształceni, mieszkający poza aglomeracjami. Ci, którzy jako tacy ponoszą koszty funkcjonowania systemu oraz bogacenia

się wąskiej elity. Nic więc dziwnego, że w ramach utrzymania *status quo*, to oni są atakowani, gdy choć trochę zdołają podnieść głowę.

Tegoroczne wybory wykazały kumulację takich klasistowskich podziałów i stanowisk szeroko rozumianego obozu opozycji, w tym także lewicy (sic!). Wyborców PiSu nazwano „ciemną biomasą”, tym samym odbierając ludziom tym nawet pozór człowieczeństwa, postulowano podział Polski na dwa odrębne kraje (oświeconą Polskę Trzaskowskiego i zabobonną Polskę Dudy), sugerowano odebranie prawa głosu tym „głupszym” i „gorzej wykształconym”. Okazuje się, że kiedy w 2007 czy 2011 ludzie wybierali PO, to był objaw dobrze działającej demokracji, a gdy w 2015, 2019 i 2020 wybierają PiS wówczas już są nie rozumiejącymi ekonomii i polityki roszczeniowcami, których przekupiono obietnicami reform socjalnych. Jakżeż niehumanistyczny musi być liberalizm w oczach samych liberałów, że obietnica 500 zł na dziecko, czyli kwoty cokolwiek niewielkiej, starczyć ma do zagłosowania na tą czy inną partię.

Wszelkie autorytety po wygranej Dudy dostały wręcz hysterii. Ktoś publicznie deklaruje, że nie będzie kupował produktów od polskich rolników – w końcu oni śmieli głosować inaczej niż im nakazano. Ktoś znowu, kto swego czasu był piłkarską legendą, stwierdza, że to „niebezpieczne”, że ci gorsi, gorzej wykształceni, sytuowani, z małych miejscowości decydują o tym, kto zostaje głową państwa. Liberałowie, którzy mają swoje gęby pełne demokratycznych frazesów nie mogą nie wylać z siebie nienawiści na tych, którzy...spełniają swój rzekomo demokratyczny „obowiązek”. Za co? Za to, że ci głosują w demokratycznych wyborach. Znowuż na jednym z liberalnych portali pojawia się znaczący nagłówek „mieszkańcy dużych miast najbardziej niezadowoleni z wyniku wyborów”. Chciałoby się dodać „i co z tego?”. Oczywiście, tytuł jasno wskazuje, że to ci dobrze zarabiający, najlepiej w zagranicznych korporacjach, z dyplomami magistrów nikomu niepotrzebnych prywatnych uczelni, są kastą, która wedle liberalnych elit

ma być głosem sumienia i rozsądku, ale przede wszystkim ma mieć decydujący głos w polityce. Wyobrażacie sobie tytuł „mieszkańcy wsi najbardziej niezadowoleni z wyniku wyborów”? No właśnie, tak niezbyt. Może w „Szturmie” albo „Nowym obywatelu”, ale na pewno nie w głównym nurcie.

Mentalność folwarczna to tutaj słowo klucz. Starczy zerknąć na histerie Sławka Sierakowskiego z KryPola, który nie mógł wprost nie wyrazić szoku i hysterii z tego, że to głównie na terenach wiejskich i małomiasteczkowych skoczyła frekwencja w drugiej turze względem pierwszej. Co, służba i małorolni z czworaków śmieli głosować inaczej niż jaśnie panowie z dworaków, salonów i sal bankietowych? No cóż, nie od dziś wiadomo, że „Krytyka polityczna” to żadna lewica, tylko liberalizm w najgorszym, drobnomieszczańskim wydaniu. Słów pogardy na to szkoda.

Słyszy się od czasu do czasu, że powinniśmy wprowadzić cenzus w głosowaniu – wykształcenia, wynagrodzenia lub majątku, wiedzy o państwie. No cóż, choćby z powodu członkostwa w ONZ czy UE jest to po prostu niemożliwe i doprowadziłoby to do natychmiastowej izolacji Polski na arenie międzynarodowej. Co ciekawe propozycje takie padają często z ust tych, którzy PiSowi zarzucają to, że... doprowadza do izolacji Polski. O grotesko.

No dobrze, ale co właściwie daje wykształcenie takiego, że ktoś kto nie ma matury czy magistra, miałby stać się obywatelem gorszego rodzaju? Znamy setki, jak nie tysiące przykładów na to, że wykształcenie nie jest jakoś specjalnie skorelowane z poziomem etycznym i moralnym człowieka. Obsada oficerska Einsatzgruppen to przykład skrajny, ale wymowny. Czemu fakt, że ktoś nie posiada określonego papierka, w dzisiejszych czasach straszliwie już zdezwuowanego, ma warunkować to, że nie będzie w stanie on nawet elementarnie wpływać na politykę? Przecież polityka cały czas będzie dotyczyć jego i determinować szereg czynników życiowych.

Tymczasem w imię fanatycznego wręcz klasizmu postuluje się tu i ówdzie odebranie ludziom tego prawa. A przecież chodzi nie o faktyczne predyspozycje do oddania głosu, ale o wykluczenie określonego typu wyborców z procesu politycznego. Identyczna sytuacja jest z postulatem cenzusu materialnego czy podatkowego, tu jednak podaje się to bez ideologicznych usprawiedliwień, a wprost się stwierdza, że ci biedniejsi powinni być tak jak kiedyś ludźmi gorszej kategorii.

Test znajomości konstytucji? Egzamin z zasad funkcjonowania państwa? To naprawdę niezbędne do stwierdzenia czy ktoś utożsamia się z tym, czy innym kandydatem? A czy ludzie korzystający z komunikacji miejskiej wiedzą jak skonstruowany jest tramwaj albo autobus? Oczywiście, że nie, co nie przeszkadza im w używaniu tegoż i ocenie komfortu jazdy. Co da nam to, że zakujemy na przysłowiową blachę artykuły Konstytucji? Nie czyni nas to ani lepszymi, ani gorszymi ludźmi, ani tym bardziej nie wpływa to na nasze uwarunkowania, które nakazują popierać daną opcję polityczną. Zresztą, czemu akurat znajomość konstytucji ma warunkować prawo głosu? Może znajomość całego prawa? Albo wszystkich głównych szkół ekonomicznych? Warunki takie możemy mnożyć i szybko dojdziemy do założeń, jakie przyświecały twórcom republikańskiej formy USA – w skrócie to: rządzą elity i technokraci, a zwykli ludzie trzymają się od polityki jak najdalej.

Myśl taka, charakterystyczna dla części prawicy, nie jest jednak zbieżna z ideą kierowania się interesem narodowym czy postulatem uczciwości w ramach aparatu władzy. Klasizm, dzielenie Narodu na lepszych i gorszych wedle arbitralnie dobranych kategorii, a tak naprawdę ze względu na dokonywane wybory polityczne to ślepa uliczka. Kiedy mówimy o solidaryzmie narodowym, tym samym odwołujemy się do idei Narodu organicznego, Narodu opartego na solidnych więzach i Narodu, który tworzy silną całość. Stąd wszelkie dzielenie ze względu na historie

wyborcze, liberalne zac zadanie czy poczucie wyższości musi być dla nas jako nacjonalistów obce.

Polityka?

Innym zupełnie zagadnieniem jest sam stosunek do wyborów. Jedni podchodzą do wyborów niczym kibice do spraw klubowych – czyli fanatycznie popierają swoich kandydatów. Siłą rzeczy w tych wyborach był to Krzysztof Bosak, przedstawiciel liberalno-populistycznej Konfederacji. Z drugiej strony mamy postawę abnegacji wyborczej, swoistego obrażenia się na demoliberalizm. Nie pójdzie na wybory urasta tu do rangi aktu oporu wobec wrogiego Narodowi systemu. Czy faktycznie?

Wybory to tylko jeden z tysięcy elementów liberalnego państwa, w którym tkwimy i funkcjonujemy. Od pracy, przez urzędy, komunikację miejską, po setki innych elementów – każdy i każda z nas codziennie porusza się w demoliberalizmie. Wybory oczywiście są tu dość skrajnym przykładem, bo przecież w tych udziału brać nie trzeba. Jednak przecież, jeśli odstawimy pewną retorykę na bok, okazuje się, że choć kandydaci to bez wyjątku tacy lub inni liberałowie, to jednak liberał liberałowi nierówny. Naprawdę nie widzielibyście różnicy, gdyby kilka tygodni temu wygrał Trzaskowski? No właśnie, wówczas najpewniej prawica ogłosiłaby prawdziwe pospolite ruszenie, a krzykom oburzenia i sprzeciwu nie byłoby końca.

Polityka będzie się działa i będzie na nas wpływać bez względu na to, czy nam się to podoba czy nie. Pytanie czy nie lepiej do tematu podchodzić elastycznie i w określonych wypadkach jednak zagłosować? Nie mówię, że konkretnie na Bosaka, akurat do tego kandydata i jego libertyńskiego

obożu bardzo mi daleko. Nawet jeśli mamy wybrać przysłowiowe mniejsze zło, to przecież zawsze jest lepsze wyjście niż głos na zdeklarowanych zwolenników lgbt, ludzi finansowanych przez międzynarodowe siły etc. Wspominamy jako nacjonaści często Ernsta Jüngera i jego słynny cytat o nie oddawaniu głosu. Mało kto pamięta, że Jünger po latach przyznał, że jak najbardziej chodził na wybory i głosował na DNVP – przeciwko NSDAP. I ciężko mieć do niego o to pretensje. Dziecinne obrażanie się na demoliberalizm raczej nie posunie nas do jego obalenia, a brednie o tym, że głosując tym samym legitymizujemy ten system ciężko brać na poważnie. Czyli nie głosując tym samym odbieramy demoliberalizmowi jego legitymizację? Ciężko w to uwierzyć patrząc na stabilność obecnego ustroju, a łączna liczba nacjonalistów w Polsce każe sądzić, że to czy wszyscy zagłosują czy nie, w skrajnie niewielkim stopniu wpłynie na frekwencję i ewentualny spadek zaufania do obecnej formy państwa.

Nie twierdzę, że zawsze należy głosować, czasami faktycznie nie mamy na kogo, lub kandydaci niczym się nie różnią. Jeśli jednak możemy wybrać opcję, która oznacza przynajmniej przedłużenie czasu, do chwili przejęcia władzy przez sorosowych liberałów, to uważam, że powinniśmy być skłonni do „zniżenia się” do udziału w wyborach. Korona z głowy nam z tego powodu nie spadnie, a być może wygrywamy w ten sposób czas konieczny na przygotowanie się do nowego etapu walki narodowej.

Konfederacja

Udział Konfederacji w wyborach to odrębna sprawa, dla nas o tyle istotna, że to na Konfederację orientuje się politycznie część środowiska narodowego. Najciekawszym aspektem nie jest dla nas 1 tura wyborów,

gdyż tu od początku było właściwie wszystko wiadome, ale zachowanie Konfederacji po 1 turze.

Bardzo szybko, bo już 2 dni po 1 turze Konfederacja wydała oficjalny komunikat, że nie popiera żadnego kandydata, a udział w 2 turze i wybór kandydata pozostawia swoim wyborcom. Cóż za straszliwy błąd!

Konfederacja bez jakiegokolwiek gry, bez żadnej walki oddała cały swój elektorat KO i PiSowi do walki o przeciągnięcie wyborców Bosaka na swoją drogę. I to w sytuacji gdy były prawie 2 tygodnie aby móc rozliczyć i wyjaśnić obu kandydatów. Konfederacja mogła najzwyczajniej wejść w grę wobec Trzaskowskiego i Dudy, oczekując konkretnych deklaracji, obietnic lub też grając na skompromitowanie obu kandydatów, wykazując, że nie są to godni reprezentacji Narodu. Trzaskowskiego można było przecież grillować o kwestie rodzinne, np. uzależniając poparcie od jasnej deklaracji niepopierania postulatów lgbt. Dudę można było próbować zmusić do deklaracji twardszej postawy wobec USA i Izraela, albo chociaż do obietnicy nie wprowadzania euro w Polsce. Tego niestety nie zrobiono, pozwalając obu sztabom przez 2 tygodnie rywalizować o wyborców Bosaka. I to bez udziału Konfederacji. Swoich wyborców aż tak duża ta ostatnia jednak nie ma i jak się wydaje, powinna bardziej ich szanować – niczym słabszy zespół starający się grać swoje na połowie boiska przeciwnika. Tu niestety oddano walkowerem swój elektorat. To nie Konfederacja stawiała warunki kandydatom, a to oni przeciągali zwolenników Bosaka na swoją stronę umizgiwaniem się do liberalizmu ekonomicznego czy patriotyzmu Konfederacji.

Jak się wydaje powodem takiego zachowania Konfederacji była świadomość jej liderów o jednym z największych problemów tej partii. Otóż jeśli spojrzymy na elektorat Biedronia, Kamysza, Hołowni to przytłaczająca większość tegoż zagłosowała na Trzaskowskiego. Tymczasem elektorat Bosaka podzielił się prawie równo na tych, którzy

poparli Dudę, i tych którzy wybrali jego kontrkandydata. Podobnie w wypadku tych, którzy na jesieni poparli Konfederację, aż 2/3 poparło Trzaskowskiego. Powód tego leży w genezie Konfederacji – jest to przecież miks środowisk narodowego i liberalnego. A więc można uznać z dużą dozą prawdopodobieństwa, że liberalna część zwolenników Konfederacji wybrała Trzaskowskiego, narodowa część zaś Dudę. I właśnie dlatego Konfederacja prawie natychmiast ucięła wszelkie kwestie dotyczące 2 tury. Obawiano się po prostu, że w razie wciągnięcia partii do walki obu kandydatów 2 tury o jej głosy, wyjdzie na jaw jak bardzo jest to niespójne i niekompatybilne środowisko. W ten sposób prolongowano, na być może nawet kilka lat, nieuchronny konflikt i konieczność ustalenia czy Konfederacja ma być ostatecznie tworem liberalnym czy narodowym. To co było na krótką metę powodem sukcesu Konfederacji (dostanie się do Sejmu), na dłuższy dystans może determinować poważny kryzys tej partii, włącznie z jej rozpadem. Okazuje się, że *circa* połowa jej elektoratu naprawdę uwierzyła, że ekonomia jest najważniejsza, PiS to „socjalizm” i w imię walki z tymże „socjalizmem” ludzie ci gotowi są wspierać kandydata otwarcie popierającego postulaty lgbt. To nie tylko potwierdza prawdę, że liberalizm to rak w każdej postaci, ale także to, że poszczególne opcje liberalne (korwiniści, KO) nie są od siebie aż tak dalekie. Kwestie moralne i etyczne dla obu odłamów liberalizmu nie istnieją, liczy się tylko gospodarka w jak najbardziej neofolwarczym modelu.

Oczywiście, Konfederacja to partia młoda i ma czas na wyklarowanie swego *modus operandi*, ale nie ma co udawać, że między ideą narodową a ideą liberalną występujące jakieś poważniejsze punkty wspólne, poza politycznymi dezyderatami obecności w parlamencie. Trudno o to mieć do polityków pretensje, pytanie jednak jak długo środowisko narodowe współtworzące Konfederację będzie się godzić na rezygnację z kolejnych swoich postulatów, oraz jak długo Konfederacja da radę opierać się tylko na mglistych postulatach silnego państwa, uczciwego i prostego gospodarowania, patriotyzmu etc. Prędzej czy później partię tą czeka decyzja wyboru ostatecznego kierunku: narodowo-wspólnotowy czy

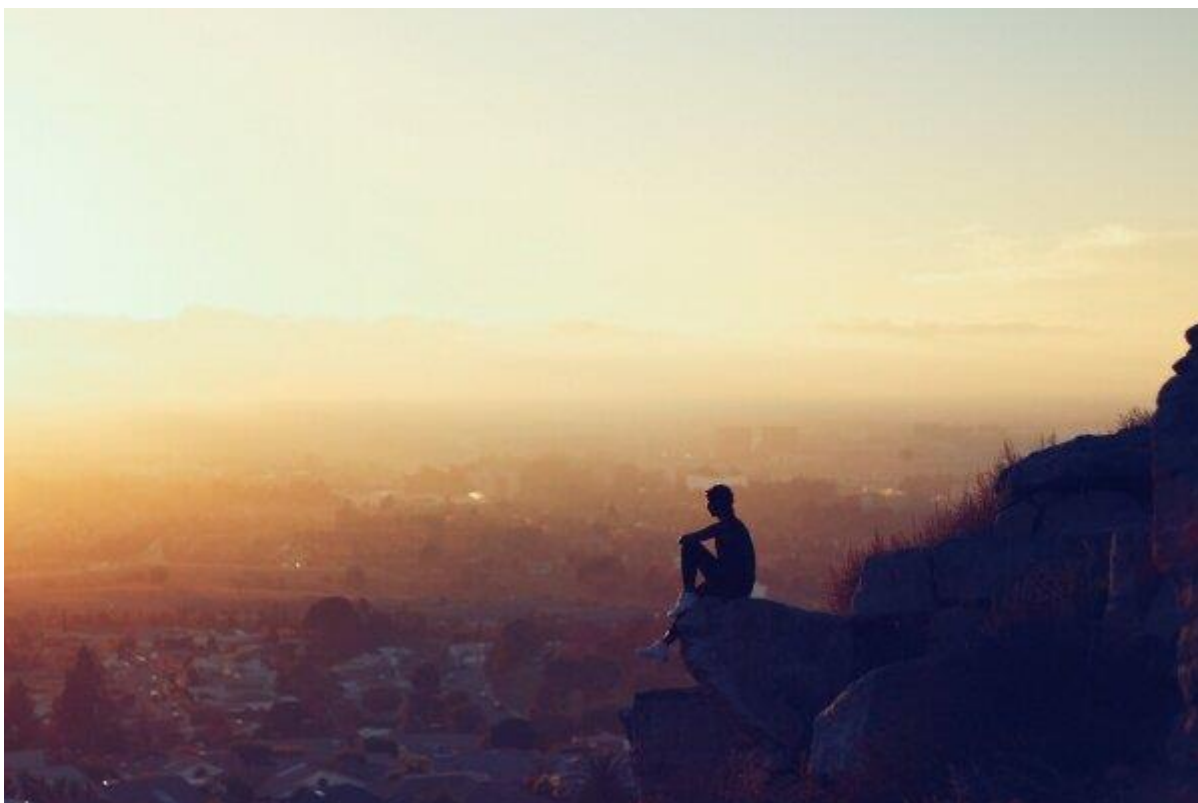
liberalno-indywidualistyczny. Niestety dotychczasowe działania i przemiany Konfederacji każą sądzić, że twór ten wybierze drugi wariant. I znów środowisko narodowe, pozbawione trwałych fundamentów działania i poparcia społecznego, pozostanie na lodzie.

Wybory, wybory

Nie bójmy się analizować wybory jak każde inne polityczne zjawisko naszego kraju. Jest ono o tyle ciekawe, że powoduje iż pewne procesy i działania stają się dużo intensywniejsze i zauważalne, przez co dużo łatwiej uchwycić pewne zależności, poglądy czy zachowania. Nie mając póki co własnego, narodowego kandydata, musimy chociaż w tym stopniu wykorzystać ten okres.

Grzegorz Ćwik

Grzegorz Ćwik - Nie pytaj o nią



Nie wybieraliśmy miejsca do urodzenia. Nie wybieraliśmy czasu do urodzenia. Nasz pływ na to, gdzie przyszło nam żyć jest, co oczywiste, żaden. W związku z tym, powiadają liberałowie, nacjonalizm jest bez sensu. Po co przywiązywać się do czegoś i stawiać na piedestale coś, na co nie mamy i nie mieliśmy wpływu.

Mylicie się i to bardzo. Nasz Naród, jego tradycja, kultura, spuścizna i historia są dla nas tak ważne dlatego, że są właśnie nasze. To tworzy i kreuje nas jako ludzi, wpływa w sposób trudny do przesądzenia na naszą świadomość i tożsamość. Nie oznacza to, że chcemy epatować szowinizmem i poczuciem wyższości. Ale to znaczy, że Polska to dla nas naprawdę dużo i nie widzimy żadnego powodu, by zostawić ją sukinsynom. Nie pytaj o nią i czemu tak a nie inaczej. Znasz odpowiedź doskonale.

Wydaje Ci się, że znasz ją? Myślisz, że ona to zakorkowane ulice, kolejki do lekarza, przeciągające się remonty ulic i budynków, korupcja, kiepskiej jakości politycy i jeszcze słabsi „intelektualiści”? Masz rację. Wydaje Ci się. Ona to wielki obowiązek, wielka międzypokoleniowa więź tych, którzy są, będą i byli. Ona to wysiłek kilkudziesięciu pokoleń, którego nie możemy

zignorować. Ona to wreszcie honor i chwała tych, którzy ją budowali, bronili, rozwijali i za nią ginęli oraz zwyciężali.

Nie pytaj o nią. Poznawaj ją każdego dnia.

To kim jesteśmy, jacy jesteśmy, czym się kierujemy w życiu, to jakie są nasze zalety i wady – to w dużej mierze dzięki niej. To ona nas stworzyła, byśmy mogli żyć dla niej. Każdy nowy dzień to nowe nadzieje i szanse. To co nas uwstecznia i ciągnie w dół możesz odrzucić w każdej chwili. Z pożytkiem dla siebie i dla niej. Wściekasz się na wszelkie możliwe przywary Polaków? Nic nie stoi na przeszkodzie, aby wraz z nowym rankiem zwalczyć je. Zaczynając od siebie oczywiście.

Nie pytaj o nią. Żyj coraz lepiej dla niej.

W świecie *opcji, możliwości i wariantów* może Ci się wydać, że ona to przeżytek, zbędny dodatek do nowoczesnego życia pełnego przygód. Kolejny raz masz rację – znów coś Ci się wydaje. Gdy plucie na nią staje się normą, gdy szydzenie z niej staje się obowiązkiem każdego szanującego się publicysty i dziennikarza, Ty idź pod prąd. Ona żyje w każdym i każdej z nas. Nie pozwól by powoli ginęła i odeszła w zapomnienie.

Nie pytaj o nią. Bądź z niej dumny.

Drażni Cię kult porażek? Przecież nikt Cię do tego nie zmusza. Pamiętaj o jej zwycięstwach, wspominaj chwile pełne dumy, chwały i wielkości. I nie wstydz się odbierać lekcji od niej. Tym właśnie są te porażki i przegrane. Pamiętaj, że przed Tobą były miliony tych, którzy stali przy niej do końca. Do ostatniej krwi kropli.

Nie pytaj o nią. Bądź jej wierny.

Każdy się na nią wścieka. Każdego denerwuje jej nieogarnięcie, lenistwo, krótkowzroczność. Ale czy na pewno jej? Czy może tych, którym się wydaje, że mają ją na wyłączność? Ona to nie żałosne walki polityczne, kolejne afery coraz to nowych skorumpowanych „przedstawicieli Narodu”. Ona to znacznie więcej. Niskie pensje, dziurawe drogi, źle działające

urzędy – to oczywiście ważne rzeczy, warte tego, aby w końcu zostały naprawione. Jednak nawet z nimi warto być z nią i żyć dla niej.

Nie pytaj o nią.

Wielu ją zostawiło. Uwierzyli, że trzeba być nowoczesnymi, tolerancyjnymi, odrzucić wszystko co stare i niepotrzebne. Uwierzyli w niebieską flagę z gwiazdkami, międzynarodowe instytucje i potęgę demokracji. I wyrzekli się jej. Prędzej czy później trafia do nich, że za cenę tak ogromnej straty nie dostali w zamian absolutnie nic. My zaś będąc jej wiernymi, jesteśmy wierni samym sobie. To naprawdę dużo. Za dużo, by się tego wyrzec.

Nie pytaj o nią. I nigdy nie myśl, by się jej wyrzec.

Nie musimy koloryzować tego, jaka jest. Widzimy wszelkie blaski i cienie jej stanu. To pozwala nam lepiej rozumieć jej problemy, wyzwania i aspekty, w których powinniśmy ją ulepszyć. Wsłuchujemy się w jej głos, co pozwala nam dostrzegać jej faktyczne potrzeby. Nie te, które powtarzane są przez przystrojonych w łatki tolerancjonistów durni, ale te które widać na jej ulicach, podwórkach, wśród bloków i ludzi.

Nie pytaj o nią. Nie musisz.

Ona to nasz wspólny obowiązek i troska. Wiemy, że gadają o niej bzdury, chcą byśmy o niej zapomnieli. Bez ustanku jedni mówią, że przyszedł jej koniec, bo akurat władzę dzierżą ci drudzy. A ona to coś więcej niż zmieniające się kliki i mafie polityczne. Dlatego to, czyje paskudne mordy akurat pokazuje telewizja, nie wpływa nasz stosunek do niej. Liberałowie tej czy innej maści odchodzą. Ona będzie trwać.

Nie pytaj o nią. Wiesz o niej wszystko.

Los rzuca nas w różne miejsca, często z dala od niej. Jednak to tylko pokazuje nam, jak dużo z nią nas łączy i że jest to silniejsze od globalistycznych twierdzeń ludzi, którzy wyrzekli się duszy. Wydaje Ci się

czasem, że jesteś durny w swym przywiązaniu do niej, bo ona przecież raz po raz nas zostawia? Kolejny raz wydaje Ci się. Ona nas nie może zostawić, jesteśmy bowiem jej dziećmi. Ona żyje w nas, my zaś w niej. To trywialne może stwierdzenie, ale właśnie taka symbioza przez wieki warunkowała jej rozwój i przetrwanie. Zostawiają nas kolejni politycy, sztucznie wykreowane autorytety, kolejni zbawcy Narodu. Zostawiają nas i ją, jednak na ostatecznie interesuje przede wszystkim ona, a nie kolejne miernoty i karierowicze. Politycy – nie macie jej na własność i nigdy mieć nie będziecie.

Nie pytaj o nią.

Słyszysz codziennie drwiny za to, że chcesz stać z nią i pracować dla niej. Widzisz codziennie jak ogromne siły robią ile są tylko w stanie by ją zniszczyć lub chociaż zniewolić. Poświęcasz dla niej czas, energię, zdrowie, życie. I to jest właśnie jedyna słuszna droga. Nie kieruj się opiniami i szyderstwami tych, którzy tak naprawdę już nie istnieją, a ich poglądy nigdy nie pochodziły od nich samych. Kieruj się wyłącznie swoim sumieniem, poczuciem obowiązku wobec tych, którzy byli i będą, oraz zmysłem smaku. Człowiekowi na poziomie nie przystoi po prostu jej zostawiać. Razem z nią stoimy. Razem ponosimy trud, ból i gorycz porażki. I razem zwyciężamy. I póki my żyjemy, żyje ona.

Nie pytaj o nią. Znasz ją doskonale.

Grzegorz Ćwik - O przyszłość
nacjonalizmu. W odpowiedzi na tekst
Pawła Suchodolskiego



Nareszcie! „Szturm” od początku miał wywoływać kontrowersje i ferment, a co lepiej może świadczyć o tym, że się nam to udaje, jak nie teksty polemiczne. W poprzednim numerze znalazł się mój artykuł pod tytułem „Powszedni nacjonalizm”. Nie miałem wątpliwości, że wywoła ożywione reakcje, co potwierdza tylko pobieżna analiza prawicowych forów internetowych. Niebawem po ukazaniu się tego tekstu otrzymałem polemikę do niego napisaną przez Pawła Suchodolskiego. Przeczytałem ją z uwagą i mając czas przed dedlajnem postanowiłem na nią odpowiedzieć w tym samym numerze. Stąd też przed lekturą mojej repliki proszę najpierw o przeczytanie artykułu Pawła, oraz ewentualnie „Powszedniego nacjonalizmu”.

[wszelkie pogrubienia w cytatach tekstu Pawła pochodzą od Autora]

Tymczasem – do dzieła.

Niewątpliwie muszę się zgodzić z Autorem, że ostatnia dekada, liczona od pierwszego dużego Marszu Niepodległości to dekada straconych i niewykorzystanych szans dla nacjonalizmu i nacjonalistów. Po wymienieniu tego, co wytknąłem polskiemu nacjonalizmowi Paweł stwierdza:

„Uważam, że powyższe tezy – powtarzane przez wielu innych publicystów, choć zazwyczaj w dużo gorszym stylu – są błędne i w zasadzie sprowadzają się do błędu „zielonej trawy u sąsiada”. **Tak jakby autorzy tych pomysłów uwierzyli, że wystarczy zmienić wajchę o 180 stopni, skopiować działalność skrajnej lewicy i wszystko się uda? Wszystko? Tylko co?”**

Zaczynając od końca – otóż w swoim tekście wymieniłem i opisałem to, co moim zdaniem udało się skrajnej lewicy, nie tylko w Polsce, ale patrząc szerzej – w Europie. Otóż środowiska te znacząco przesunęły w swoim kierunku granice dopuszczalności, zaczęły odgrywać ważną rolę w publicznej dyskusji oraz w sposób istotny podważyły wszelkie wrogie im wartości i paradygmaty. Patrząc na to od strony strukturalnej i organizacyjnej z kolei, okazuje się, że lewica odpuszczając generalnie uliczne zabawy dla nieopierzonych kinderpunków wytworzyła wielopłaszczyznową strukturę inicjatyw i legalnych form działania, które nie tylko umożliwiają jej działanie, ale przede wszystkim – skuteczne działanie.

Autor w kolejnym akapicie pisze coś, co doskonale pokazuje, jak nacjonałiści nie rozumieją o co idzie gra:

„Działalność lewicy w Polsce nie jest usłana różami – i nie chodzi tylko o możliwość sporadycznego napotkania narodowych wolontariuszy.”

Nie ma absolutnie żadnego znaczenia, czy owa lewica spotka owych „wolontariuszy”, coraz zresztą mniej licznych. To cały czas patrzenie na uliczną stronę działalności. Zresztą, na obecną chwilę akcje bezpośrednie właściwie wyłącznie już przysparzają lewicy „męczenników”, których łzawe historie w kanałach social-media udostępniane są setki, jak nie tysiące razy.

Czy działalność lewicy jest usłana różami? Tego nie wiem, nie pisałem o tym zresztą w poprzednim tekście. Na pewno działalność ta jest wielokrotnie skuteczniejsza.

Dalej Paweł stwierdza rzecz fundamentalną dla swojego artykułu:

„Dlaczego nacjonalizm jest w (czasowym) odwrocie? Nie dlatego, że jest biedny, niezrozumiały przez normików albo zamienia się w subkulturę. Moja diagnoza jest następująca.” [tu następuje wymienienie tychże powodów].

Otóż jak sądzę Autor popełnia zasadniczy problem w ułożeniu pewnego związku przyczynowo-skutkowego. Uważa on, że albo rację mam ja i prawdziwa jest moja poprzednia analiza, albo jest całkowicie błędna, i zastąpić trzeba ją swoją.

W tym wypadku mamy do wyboru 2 układy:

Mój: nieskuteczność, archaiczność, subkulturyzacja à nieskuteczny nacjonalizm

Pawła: kiepska jakość osób decyzyjnych, historycyzm, zbytne skupienie się na szukaniu poparcia à nieskuteczny nacjonalizm.

Tu trochę wybiegłem w przód, wymieniając kolejne argumenty Pawła. Jednak sądzę, że warto już teraz ustalić pewną rzecz. Otóż pomijając te elementy jego układanki, z którymi się fundamentalnie nie zgadzam, to nie ma przecież przeciwskazania, by uznać, że wspomniana przez mnie archaiczność czy subkulturyzacja nie były powodowane przez takie, a nie inne osoby decyzyjne. Nie chodzi już nawet o ustalenie przyczyny i skutku, bo zależność może być obustronna, ale o stwierdzenie, że jedno nie wyklucza drugiego. Możemy być zakorzenieni w subkulturze i jednocześnie posiadać często osoby decyzyjne, zwyczajnie nie nadające się do tego.

A skoro już mówimy o osobach decyzyjnych, to wróćmy do tekstu Pawła. Píše on w nim:

„Pierwszą przyczyną braku znaczącego przełamania w dekadzie 2010-2020 było fakt, że osoby decyzyjne organizacji narodowych w tym czasie: głównie ONR i MW nie należały do osób kreatywnych, twórczych i gotowych do ciągłego wykreowania nowych koncepcji.”

Różnie można oceniać te osoby – jakkolwiek ze strony „Szturmu” często wylewała się krytyka wobec wielu decydentów (w tym spod klawiatury piszącego te słowa), to jednak porównując kończącą się dekadę i lata 90-te widać niemały postęp. Nie twierdzę, że nacjonalizm nie popełnił szeregu kardynalnych błędów, w tym braku koncepcji i pomysłu, podatności na idee liberalne i libertariańsko-antypaństwowe, hermetyczności form i treści działań. To z pewnością było i jest. Pytanie czy faktycznie wszystkie błędy mamy zrzucić na kark owych osób decyzyjnych, w dużej mierze już dziś nieobecnych w działaniach *stricte* nacjonalistycznych. Pytanie na jakie musimy sobie odpowiedzieć, brzmi: czy przypadkiem te problemy i ograniczenia nie znajdują się w każdym i każdej z nas?

Autor w dalszej części swych wywodów stwierdza:

„Nacjonaści padli ofiarą tendencji, którą proponuje redaktor naczelny. Zainteresowania wszystkimi tylko nie sobą”.

Nie wiem, czy sugerowałem gdzieś zainteresowanie się wszystkim, tylko nie sobą. Wydaje mi się, że tekst, który omawia Paweł jest głównie o nas samych i toczących nas problemach. O tym jakie psychiczne, mentalne, formacyjne ograniczenia nie pozwalają nam rozwinąć skrzydeł.

I tak dochodzimy do chyba najważniejszej myśli w tekście Pawła:

„Redaktor naczelny mówi, żeby docierać do normików. Ale w jakim celu? Przecież nowy ruch polityczny powstaje na kontrowersji, dymach i dopiero po latach ukształtowania idzie w centrum. Wie to nawet Sławomir Mentzen, gdy opowiada dlaczego orkowie pobiją profesora Gwiazdowskiego. Moim zdaniem właśnie polscy nacjonaści za bardzo chcieli być z ludem, zamiast sprawić aby to ludzie chcieli być z nimi – poprzez swoją atrakcyjność, sprawczość i elitarność. Za bardzo obniżali standardy strasząc się, że „zwykli ludzie” (jakby gdziekolwiek tacy istnieli, zwłaszcza w 2020 roku) zrażą się do ich ruchu i nie będą go wspierać.”

Pytanie „po co docierać do normików” to w moim rozumieniu pytanie o fundamentalny sens nacjonalizmu. Nie chodzi tu tylko o argumenty i przerywanie się poglądami, ale odpowiedź na kwestię co jest naszą misją. Otóż odpowiem Autorowi:

Nacjonalizm to służba i ofiara dla Narodu. Ten zaś zagrożony jest obecnie, jak być może nigdy. Napór idei liberalnych i lewicowych powoduje, że dekonstruowane i niszczone są wszystkie osnowy człowieczeństwa, w tym

właśnie narodowość. Jeśli chcemy to zmienić, musimy zaszczerpić naszą wizję w umysłach ludzi, musimy docierać do nich z naszym przekazem, musimy kontrować wszelkie działania naszych wrogów. Właśnie dlatego najważniejsze jest docieranie do „normików” – to bowiem jest nasz Naród! To nie jest jakaś obca, zewnętrzna grupa ludzi, ale nasi bracia i siostry. Nie walczymy o poklepanie po plecach kolegi z zaprzyjaźnionej organizacji, ale o bezpieczeństwo i pomyślność naszego Narodu i całej Europy. Czy polscy nacjonałści faktycznie „za bardzo chcieli” być z ludem? Bynajmniej, patrząc po działaniach robili wszystko, żeby odciąć się od ogółu ludności. Zmusić ludzi, by sami z siebie chcieli być z nami? Przecież to zupełnie nie o to chodzi, czy oni będą z nami, czy my z nimi, czy w ogóle będą czuli taki podział. Chodzi o to, by myśleli w sposób oparty o narodowe, normalne i zdrowe wartości i schematy. Ciężko też na serio brać twierdzenie o nie istnieniu „zwykłych ludzi”. Otóż takich jest przeważająca większość. To, że prawica czy lewica potrafi być głośna wynika zwykle z możliwości kadrowych, ale w gruncie rzeczy to niewielkie grupki czy partie. Przeważająca większość ludzi to właśnie „normiki”, niespecjalnie interesujący się ideologią, książkami, manifestami i artykułami z naszych periodyków. Co nie zmienia faktu, że ideologia przenika ich i ich życia, tak jak przenika wszystko. Dlatego właśnie metapolityka i docieranie do zwykłych ludzi oraz wpływanie na przestrzeń publiczną to nasz cel.

Paweł poprzednie swoje twierdzenie popiera następującym wywodem:

„A prawda jest taka: ludzi odpolitycznionych nie interesuje działalność polityczna, więc według mnie absurdalnie jest kierować do nich swoją główną działalność. [...] Prawda jest też taka, nie zbudujemy nowego ruchu opierając się na anonimowych normikach. Ich zainteresować można będzie swoją działalnością w razie jakiegoś wielkiego kryzysu. „

Nigdzie nie twierdziłem, że ludzi odpolitycznionych interesuje działalność polityczna. Nie twierdziłem też, że mamy budować nowy ruch opierając się na anonimowych „normikach”. W związku z tym nie będę się tu odnosił do twierdzeń Autora, zaznaczę tylko, że nie tylko to nie moje myśli, ale i sam jestem im wrogi. Nowy ruch zbudujemy na sensownych, zaangażowanych i odpowiedzialnych nacjonalistach. A ludzi odpolitycznionych nie musi interesować polityka, grunt, żeby ich kompasy ideowe wskazywały to co zdrowe i normalne.

Czy faktycznie jest jak pisze Paweł, że „[...] wbrew twierdzeniom red. nac. Ćwika cel w poprzedniej dekadzie był wyraźnie zaznaczony i społeczne oczekiwanie od liderów i osób decyzyjnych było szeroko manifestowane. Celem tym było obalić Republikę Okrągłego Stołu. To, że to nie udało się jest prostą przyczyną dzisiejszego kryzysu”.

To, że 8 lat temu na polach Agrykoli Robert Winnicki wykrzyczał deklarację wojny z Republiką Okrągłego Stołu nie powinno przysłać nam tego, że skutki tej deklaracji były raczej mizerne i niewiele miały wspólnego z faktyczną próbą wykonania tego skądinąd słusznego dezyderatu. Prędzej można było odnieść wrażenie, że chłopcy narodowcy bawią się w politykę, i to ze skutkiem cokolwiek żenującym. Ciężko brak obalenia tegoż tworu uznać za faktyczne źródło kryzysu, bo *per analogiam* należałoby uznać, że był to cel realistyczny, a to już absurd. Zawiedliśmy z wielu powodów, nie tylko z powodu braku konsekwencji i systematyczności w obalaniu tejże republiki. Myśmy w ogóle nie mieli na to pomysłu. Zadeklarować cel końcowy to jedno, wiedzieć jak to niego dążyć – to dwie różne sprawy.

Paweł stwierdza także rzecz następującą:

„Tak jak już wskazywałem jedną z podstawowych przyczyn obecnego kryzysu jest to, że narodowi liderzy wielokrotnie zawiedli. [...] po prostu w

pewnym momencie zabrakło pomysłów i kreatywności w ich kreowaniu przeprowadzaniu. Bardziej opłacało się powtarzać utarty schemat. Ale jak to w życiu często bywa – kto nie idzie do przodu, odkrywa że nagle cofnął się. Dlatego w tym kontekście tekst redaktora naczelnego jest o tyle nie trafiony, bowiem pomija powyższą diagnozę.”

No cóż, śmiem twierdzić, że jednak zarzut braku kreatywności i archaiczności form i założeń pewnych działań jednak pojawił się w moim tekście, i to nie tylko tym. Sugeruję Autorowi sięgnąć do lat 2016-2017, gdyż już wtedy zdarzyło mi się punktować te przywary, podobnie jak i później, choćby pisząc o metapolityce.

Autor na koniec przedstawia swoją diagnozę, w której pisze:

„Za nasz kryzys odpowiadają:
1. Liderzy, którym zabrakło woli, pomysłu i kreatywności aby w odpowiedni sposób zarządzać rozwijającym się ruchem.
2. Związana z powyższym archaiczna ideologia „neoendecji”, w której to podjęto karkołomną próbę wdrożenia ideologii powstałej w zupełnie innej epoce, do współczesnej, polskiej rzeczywistości politycznej.

[...]

3. Ostatnia przyczyna mogłaby anulować powyższe. **Po prostu po 2015 roku nacjoniści samoczynnie zaniechali aktywnej działalności.** Podstawą ruchu jest kreowanie wydarzeń, sytuacji”.

Rozwijając punkt drugi pisze Paweł, że:

„Po drugie to swoiste przekonanie – wynikające z genezy endecji XIX wieku, z którą nie mamy bezpośrednio nic wspólnego tak jak z budową

piramid, iż nacjonalizm musi iść do ludzi, musi im się podobać, musi być ludyczny *ergo* ultrademokratyczny (nawet gdy przybiera ekstremistyczną symbolikę lub hasła itp).”

Zapewniam Cię Pawle, że moja konstatacja, że nacjonalizm musi być kompatybilny z normalnymi, zwykłymi ludźmi nie ma nic wspólnego z endecją. Mówiąc wprost zawsze czułem się dużo bardziej piłsudczykiem, niż endekiem. Nie jest to zresztą żadna tajemnica. I tak, nacjonalizm jeśli ma faktycznie być skuteczny musi być ludyczny, musi się podobać, musi trafiać do „normików”, nawet jeśli nie będzie się nazywać już nacjonalizmem. Inaczej po prostu nie zadziała, to oczywista oczywistość politycznej strony funkcjonowania każdej idei. Niezrozumiałe idee lub idee propagowane w niezrozumiały i hermetyczny sposób pozostają na marginesie. Nam choćby już z przywiązania do wartości, jaką jest Naród, nie może być po drodze z takimi poglądami. Co do „ultrademokratyczności” to ciężko mi zrozumieć co to ma wspólnego z tym, czy dana idea jest popularna, lub nie. Nawet jeśli uznać to, że konieczne będzie wdrożenie owej ultrademokratyczności, to co z tego? W polityce liczy się skuteczność, a nie to, czy coś zostanie uznane za takie czy inne. Nas nie interesują łatki i kumaterskie wzdraganie się przed takim czy innym nurtem. Nas interesuje na ile nasze idee są rozpowszechnione i podzielane przez ogół społeczeństwa.

Na koniec swojego tekstu Paweł stwierdza:

„Warto jeszcze dodać, że powstanie Szturmu to najlepsza rzecz jaka przydarzyła się polskiemu nacjonalizmowi w ostatniej dekadzie.”

W imieniu swoim, redakcji, wszystkich piszących obecnie i w przeszłości oraz wszystkich, którzy nas wspierali w prawie 6-letniej historii czasopisma serdecznie dziękuję za takie docenienie. Czy jednak stwierdzenie, że powstanie internetowego miesięcznika skierowanego

głównie do wewnątrz środowiska jest największym sukcesem nacjonalizmu w ciągu ostatnich 10 lat nie jest przyznaniem mi racji? Abstrahuję już od opinii o „Szturmie”, bo wielce obiektywny tu nie będę (choć osobiście uważam „Szturm” za 2 najważniejszy narodowy periodyk – po „Polityce Narodowej”). Ale czy skoro według Autora większych sukcesów nie było, zwłaszcza w ramach wpływania na szeroko rozumianą rzeczywistość, to czy nie jest tak, że Paweł mimochodem na ostatniej prostej nie przyznał racji moim tezom z poprzedniego artykułu? Coraz większa marginalizacja naszej idei i środowiska, nieskuteczność, kisenie się we własnym, nacjonalistycznym sosie – tu przyczyny są dużo głębsze, niż tylko mierni decyzyjni, czy zbytne skupianie się na rekonstrukcji endecji. Tu trzeba przede wszystkim spojrzeć na stan otaczającego nas świata, na realia i zastanowić się jak nacjonalizm ma stać się skuteczny, efektywny i atrakcyjny.

Albo zaczniemy trafiać do ludzi i przeciągać granicę ideologicznej dopuszczalności na naszą korzyść, albo wkrótce nie będzie nacjonalizmu w Polsce.

Grzegorz Ćwik

Radosław Biały - Recenzja „Niemieckiego asa pancernego”

Richard Freiherr von Rosen

Niemiecki AS pancerny

na frontach II wojny światowej



Na polskim rynku wydawniczym od czasu do czasu można upolować jakąś kontrowersyjną pozycję. „Niemiecki as pancerny” to spisane po latach wspomnienia niemieckiego żołnierza. Autorem książki jest generał Bundeswehry w stanie spoczynku, który pełnił również kilka innych ważnych funkcji, między innymi w ONZ. Książka dotyczy jednak czasów II wojny światowej i służby głównego bohatera w jednostkach pancernych Wehrmachtu.

Richard Freiherr von Rossen w chwili wybuchu wojny miał 17 lat. Mimo częściowo sceptycznego podejścia do ataku na Polskę pragnie wstąpić do wojska. Jego marzenie spełnia się niebawem. Główny bohater przechodzi chrzest bojowy podczas ataku na ZSRR jako celowniczy Panzer III. Opisane szczegółowo sceny walk w bezkresnej Rosji trzymają w napięciu. Ciężkie walki przeplatane są ze zwykłym żołnierskim życiem poza linią frontu. Autor dokładnie przedstawia nam prozaiczne czynności typu: spożywanie posiłków, szkolenia i pobyty w lazaretach. Napięty akcją czytelnik może ochłonąć, a nawet się pośmiać. Mamy do czynienia z niemieckimi czołgistami grającymi w karty, pijącymi wino i szukającymi łupów w opuszczonych radzieckich magazynach. Żołnierze Wehrmachtu są przedstawieni w sposób sympatyczny, jako honorowi ludzie walczący i ginący za ojczyznę. Główny bohater szybko awansuje i zostaje odznaczony. Von Rossen oprócz operacji Barbarossa walczy również pod Kurskiem, na froncie zachodnim, oraz na Węgrzech. W międzyczasie zostaje kilkakrotnie ranny, ale szalejąca wokół śmierć go nie dosięga. Nasz bohater kończy szlak bojowy jako porucznik dowodzący kompanią Tygrysów Królewskich. Zaawansowanemu pasjonatowi militariów przypadną do gustu opisy czołgów, ciągników, samochodów, dział itd. Dla mniej zaawansowanego czytelnika będą pomocne zdjęcia, których jest całe mnóstwo. Za sprawą autentycznych fotografii czytelnik będzie mógł zobaczyć sceny i sprzęt opisane przez autora. Zamieszczonych jest kilka kalendarzy z chronologicznie ułożonymi najważniejszymi datami II WŚ. Taki zabieg jest przydatny do zrozumienia kontekstu historycznego. Jednak książka kończy się dopiero w czasach powojennych. Richard stara

się wrócić do normalnego życia, ale napotyka problemy ze strony nowej władzy.

Książka została wydana we wrześniu 2019 r. przez wydawnictwo Vesper. Dużą część z 463 stron stanowią zdjęcia. Polskiego czytelnika zrazić może pozytywne przedstawienie żołnierzy Wehrmachtu. Autor przedstawia swoich towarzyszy broni jako bohaterów sceptycznie nastawionych do Hitlera i SS. Sceptycyzm przeradza się w niechęć wraz z porażkami na froncie. Według Richarda Freiherr von Rossen zwykły obywatel III Rzeszy nie wiedział nic o Holocauście. Niemieckie społeczeństwo oprócz władzy i fanatyków z SS jest przedstawione pozytywnie. Kij w mrowisko mogą wbić fragmenty o prześladowaniu mniejszości niemieckiej w II RP, oraz o zdziczałym zachowaniu się byłych polskich robotników przymusowych. Oberwało się również Francuzom i Rosjanom. Jednak nie należy patrzeć na wojnę przez czarno-biały pryzmat. Wspomnienia, a zwłaszcza te żołnierskie zawsze będą subiektywne. Jeśli chcemy dowiedzieć się co pchnęło zwykłych Niemców do wojny, to musimy spróbować ich wysłuchać. Na końcu książki zamieszczono krytyczne posłowie. Jednak dla obiektywnego pasjonata II wojny światowej krytyczne komentarze są zbędne.

Radosław Biały

[niniejszy tekst nie propaguje ustroju ani ideologii faszystowskiej lub nazistowskiej, oraz nie nawołuje do nienawiści na tle rasowym, etnicznym, narodowościowym, religijnym lub jakimkolwiek innym]

Radosław Biały - Tadeusz Zubiński,
Błękitna Dywizja. Hiszpańscy sojusznicy
Hitlera



TADEUSZ ZUBIŃSKI

BŁĘKITNA
DYWIZJA

HISZPAŃSCY SOJUSZNICY HITLERA



Do sięgnięcia po niniejszą pozycję skłonił mnie już sam jej tytuł. Często spędzam wieczory przegrzebując czeluści Internetu w poszukiwaniu książek na temat II wojny światowej, a zwłaszcza tych o żołnierzach walczących po stronie państw Osi. Dodatkowo do kupna książki zachęciły mnie jej pochlebne recenzje. Z recenzji przede wszystkim wywnioskowałem, że mój przyszły zakup nie ma nic wspólnego z lewicową poprawnością polityczną. Czytelnik nie będzie miał do czynienia z moralizatorskimi wypocinami o kolaboranckich sługusach w niemieckich mundurach. Dzieło przedstawia hiszpańskich żołnierzy jako ideowych bohaterów walczących do końca . Tego właśnie szukałem.

Uwagę przykuwa już sam autor. Tadeusz Zubiński to pisarz urodzony w 1953 r., mieszkał w wielu krajach, między innymi w Hiszpanii. W jego dorobku znaleźć możemy wiele książek w tym pozycje na temat hiszpańskiej wojny domowej i Generale Franco. Trzeba wspomnieć, że Zubiński do napisania „Błękitnej Dywizji” posłużył się wieloma hiszpańskimi źródłami. Wszystko to sprawia, że mamy do czynienia z wiarygodnym dziełem, napisanym przez kompetentnego badacza tematu.

„Błękitna Dywizja. Hiszpańscy sojusznicy Hitlera” ramami czasowymi obejmuje nie tylko działalność La División Azul, lecz również przybliżona zostaje wcześniejsza hiszpańska wojna domowa wraz z polityką zagraniczną gen. Franco i opisane są późniejsze losy hiszpańskich żołnierzy po wycofaniu Błękitnej Dywizji z frontu. Dzięki wcześniejszym rozdziałom czytelnik zostaje wprowadzony w realia państwa hiszpańskiego z końca lat 30-tych i początku 40-tych, przez co z łatwością można sobie odpowiedzieć na pytanie – co skłoniło Hiszpanów do walki po stronie III Rzeszy? W tym miejscu idealnie pasować będzie cytata z okładki: *„Gdy 22 czerwca 1941 roku Trzecia Rzesza zaatakowała Związek Radziecki, w żadnym kraju w Europie nie było takich przejawów radości, jak w Hiszpanii. Ambasada niemiecka w Madrycie została zasypana lawiną telegramów z gratulacjami, a w Barcelonie tysiące uradowanych mieszkańców wyległo na ulice, aby zmanifestować swoją radość przed*

konsulatem niemieckim. Francisco Franco propozycję utworzenia ochotniczej jednostki hiszpańskiej złożył Joachimowi von Ribbentropowi już tego samego dnia wieczorem”.

W następnych rozdziałach mamy opisane formowanie się hiszpańskiej ochotniczej dywizji, która weszła w skład Wehrmachtu i po przeszkoleniu w Niemczech została wysłana na front wschodni. Dużą część ochotników stanowili członkowie Falangi- dywizja zawdzięcza swój przydomek od ich błękitnych koszul partyjnych. Kolejne rozdziały dotyczą już krwawych walk z bolszewikami, w których Hiszpanie udowodnili swe męstwo. Bitwy takie jak pod Krasnym Borem sprawiły, że iberyjscy wojownicy byli uwielbiani przez samych Niemców. Mimo, iż Hiszpanom było blisko pod względem ideologicznym do Niemców, to jednak Zubiński podkreśla ich przyjazne nastawienie do Polaków. Wesołym żołnierzom o południowej karnacji zdarzało się być czasem porywczym, ale ze zbrodniami wojennymi nie mieli nic wspólnego i w większości nie antagonizowali się z ludnością cywilną. W dalszej części możemy przeczytać o załamaniu się frontu wschodniego i wycofaniu Błękitnej Dywizji do kraju przez gen.Franco naciskanego przez Aliantów. Wydawało by się, że to koniec, ale bohaterscy Hiszpanie nie złożyli broni i na własną rękę utworzyli Błękitny Legion, oraz zaciągali się do różnych cudzoziemskich jednostek Waffen SS. Najbardziej wytrwali zakończyli swą walkę dopiero w Berlinie pod kancelarią Rzeszy. Jako ciekawostkę wspomnę, że autor jeden z rozdziałów poświęcił również Hiszpanom walczącym po stronie sowieckiej.

Książka ukazała się nakładem Wydawnictwa Poznańskiego w 2016 r.. Mamy do czynienia z miękką oprawą, ale za to atut okładek stanowią tzw. odginane skrzydełka. Plusem są również zdjęcia z opisami, które możemy znaleźć pomiędzy stronami z tekstem. Jedyne czego brakuje to bibliografii i wmontowanej pozytywki, która wygrywałaby melodię Primavera-słynnej pieśni Błękitnych Dywizji. Mimo 353 stron czyta się błyskawicznie i z wypiekami na policzkach. Książka jest popularno-naukowa, więc nie trzeba mieć doktoratu z historii żeby bezproblemowo przyswoić sobie jej

treść. Małym minusem dla przeciętnego czytelnika mogą być zbyt obszerne życiorysy drugoplanowych bohaterów, które burzą trochę kompozycje, ale poza tym jest jasno i przejrzyste.

„Błękitna Dywizja. Hiszpańscy sojusznicy Hitlera”, to idealna książka dla każdego obiektywnego pasjonata II wojny światowej. Serdecznie polecam czytelnikom o szerokich horyzontach myślowych – w tej książce znajdziecie gorące hiszpańskie słońce jak i rosyjską zimą.

Radosław Biały

[niniejszy tekst nie propaguje ustroju ani ideologii faszystowskiej lub nazistowskiej, oraz nie nawołuje do nienawiści na tle rasowym, etnicznym, narodowościowym, religijnym lub jakimkolwiek innym]

Monika Dębek - Wypalenie w życiu nacjonalisty



Nie ma na świecie człowieka, którego co najmniej kilka razy w życiu nie spotkało wypalenie. Każda osoba ludzka w trakcie swojego istnienia przeżywa mniejsze lub większe kryzysy. Porażki są częścią każdego ludzkiego bytu. Niestety nie zawsze jesteśmy w stanie je zauważyć, zmierzyć się z nimi i podjąć skuteczną walkę. Nacjonalista jest osobą, która na początku swojej działalności przeżywa coś w stylu zakochania się i zafascynowania ideą. Czuje przyjemną adrenalinę, stan podekscytowania, euforię. Każda akcja, manifestacja nakręca jeszcze bardziej do dalszej działalności. Nie ma w tym nic dziwnego. Swoją działalność nacjonalista zazwyczaj, chociaż nie zawsze zaczyna w wieku młodzieńczym. Charakterystyczne dla tego okresu życia jest postrzeganie świata w lepszym kształcie niż jest. Młody człowiek posiada swoje ideały, którymi się kieruje. Idealista jest osobą zdolną do bardzo dużych poświęceń w swoim życiu, często jest fanatykiem. W życiu każdej osoby jednak prędzej czy później niezależnie od wieku

przychodzi moment twardego zderzenia z rzeczywistością, który może być bardzo mocno bolesny a czasami nawet tragiczny w skutkach. Intensywna działalność może także stopniowo doprowadzać do wypalenia się. Jest ono jednym z kryzysów ludzkich, który powoduje niemoc i zmęczenie. Człowiek zaczyna dostrzegać wszystko w ciemnych barwach. Wypalenie nie omija także nacjonalisty. Każdy z nas albo przynajmniej większa część w życiu w pewnym momencie czuła się zmęczona, czuła bezsilność lub nie widziała sensu dalszej działalności. W takich momentach mieliśmy wrażenie, że nasza cała praca idzie na marne, walczymy z wiatrakami i wykonujemy prace niczym mityczny Syzyf. Wielu z nas odeszło z działalności i nigdy już do niej nie powróciło. Co zrobić, żeby się nie wypalić? Przede wszystkim w życiu trzeba mieć czas na wszystko, na pracę zawodową, z której się utrzymujemy, dla rodziny, przyjaciół, idealnie jest, gdy można to połączyć z działalnością narodową i spotykamy się ze zrozumieniem naszej idei, nie mówiąc już o sympatii. W życiu ważne jest rozwijanie pasji, niezależnie od wieku, płci, statusu społecznego, godzin, w jakich pracujemy. Pasja jest tlenem dla każdego. Dla wielu z nas to, co robimy, jest właśnie pasją i dzięki niej życie staje się piękniejsze.

Po każdej przeprowadzonej akcji, nawet tej najmniejszej i mało ważnej z pozoru warto przemyśleć sobie, co nam się udało, jeśli nie udało, jakie mogły być przyczyny porażki. Starać się w przyszłości nie popełniać tych samych błędów. Warto na dane tematy dyskutować z innymi osobami. Ogólnie, aby uniknąć wypalenia, należy wsłuchiwać się w samego siebie, w swoje potrzeby i pragnienia. I chodzi tu także o te potrzeby najbardziej podstawowe takie jak sen. Tak, odpoczynek jest bardzo ważny i bez niego na dłuższą metę dalsza egzystencja nie jest możliwa. W przypadku wypalenia może to być urlop nawet kilkutygodniowy. W trakcie odpoczynku ważny jest bardzo kontakt z przyrodą, dzięki niej możemy wsłuchać się w siebie, wyciszyć się i się zrelaksować. Wypalenie – to ogromne niebezpieczeństwo, prowadzące w skrajnych przypadkach nawet do depresji. Nie możemy go lekceważyć i pozwolić mu

się opanować. Każdy z nas w mniejszym lub większym stopniu go doświadcza. Dlatego warto dzielić się doświadczeniami z innymi osobami, ideowymi siostrami lub braćmi. Musimy pamiętać, że nie jesteśmy sami dla siebie, jesteśmy istotami społecznymi, a nacjonaści tworzą jedną wielką wspólnotą. Wspólnota, która idzie wspólnie ku lepszej przyszłości.

Witomysł Myduj - Nieświadomość zbiorowa źródłem Tradycji w myśli C.G. Junga



„Świat, w który jesteśmy wtrącani rodząc się jest brutalny i okrutny, a zarazem pełen boskiego piękna. Uznanie, czy przeważa w nim bezsens czy sens, to kwestia temperamentu. Gdyby jednak zwyciężył bezsens, to w miarę rozwoju znikalaby sensowna strona życia. Ale tak nie jest - przynajmniej tak mnie się wydaje. Prawdopodobnie - jak zwykle w przypadku kwestii metafizycznych – i jedno, i drugie jest prawdziwe: życie ma sens i nie ma go. Żywię trwożną nadzieję, że jednak sens przeważy szalę i wygra bitwę.” [1]

Od zarania dziejów religioznawcy, ale także badacze innych dziedzin, zastanawiali się gdzie leży źródło ludzkiej religii. Jak można się domyślać poszukiwania prapoczątku sacrum ludzkiej duchowości nigdy nie należały do łatwych. Sama próba poznania i zrozumienia tego fenomenu nierzadko

stawiała w obliczu agresywnej krytyki i potępienia przez fundamentalistów religii objawionych. W artykule tym spróbuję przeanalizować to zagadnienie w kontekście koncepcji jednego z najwybitniejszych i najślawniejszych na świecie psychiatrów, a mianowicie Carla Gustava Junga.

Bezcelowa byłaby w tym momencie próba sumiennego nakreślenia życiorysu Junga, który był niezwykle bogaty w różnorodne wydarzenia, jednakże warto przytoczyć kilka charakterystycznych ciekawostek z jego życia. Carl dorastał na przełomie XIX i XX wieku w protestanckiej rodzinie w Szwajcarii, tam też studiował w Bazylei, a następnie, bardzo dynamicznie rozwijając swoją karierę naukową, został profesorem i objął Katedrę Psychiatrii w Zurychu. Początkowo był pod dużym wpływem nurtu psychoanalitycznego reprezentowanego przez Zygmunta Freuda, jednak z czasem coraz bardziej dystansował się od tego prądu, poddając krytyce ortodoksyjne poszukiwanie przyczyny problemów psychicznych jako niezaspokojenia seksualnego libido. Z uwagi na coraz większą autonomię własnej myśli psychoterapeutycznej, nazwanej później psychologią analityczną, spotkał się wówczas z ostracyzmem wśród *stricte* żydowskiego oraz bardzo doktrynerskiego środowiska psychoanalityków. Niewątpliwie miało to wpływ na późniejsze, także pohukujące do dziś, zarzuty o antysemityzm. Należy jednak podkreślić, że pomimo garści krytycznych wobec kultury żydowskiej komentarzy, co najmniej kilka elementów biografii Junga świadczy o dystansie i asertywności wobec nazistowskiej maszyny [2].

Niedługo po zerwaniu kontaktów z twórcą psychoanalizy szwajcarski psychiatra rezygnuje również z pracy na uczelni. Jak sam przyznaje we swoich wspomnieniach [1], doskwierała mu samotność, lecz z drugiej strony jest to dla niego bardzo owocny czas w rozwoju swoich psychologicznych teorii poprzez introspekcję w odosobnieniu. Prowadził wówczas własny gabinet terapeutyczny, aczkolwiek dużo czasu w ciągu

roku spędzał w wybudowanym niemalże samodzielnie zameczku nad Jeziorem Bodeńskim, który możemy oglądać na grafice. Należy również nadmienić, że dociekliwy badacz ludzkiej psychiki wiele podróżował – oprócz czysto akademickich wypraw po Europie i Stanach Zjednoczonych spędził wiele czasu próbując zadomowić się pośród Indian Pueblo, Arabów z Północnej Afryki czy kenijskich plemion. Spotykał się także z indyjskimi nauczycielami duchownymi. Tym doświadczeniom towarzyszyło jednak pewne rozczarowanie. Jung miał świadomość, że osoby odpowiedzialne za sferę sacrum ludów pierwotnych choć dopuszczały go do pewnych rytuałów, nigdy nie chciały wytłumaczyć bezpośrednio ich symboliki i aspektów metafizycznych postrzegania.

Jednym z ciekawszych epizodów w życiu naukowca były cykliczne spotkania *Eranos* w malowniczej, szwajcarskiej Asconie, którym z czasem Jung zaczął przewodniczyć. Były to elitarne, multidyscyplinarne konferencje syntezy wiedzy czołowych humanistów od religioznawców (Eliade w jednym ze swoich pierwszych listów do Carla Gustava Junga napisał: „Z żywą radością myślę o naszych rozmowach w Asconie, a spotkanie Pana uważam za jedno z decydujących wydarzeń duchowych w moim życiu”) po teologów, ezoteryków czy filozofów z całego świata. Wiadomo również, że względu na komentarze i odniesienia w twórczości, iż Jung z zacięciem i wzajemnością czytał dzieła Evoli.

Wspomniana w tytule koncepcja nieświadomości zbiorowej (zwanej również mitopoetyczną) po raz pierwszy została rozwinięta przez Junga w dziele *Wandlungen und Symbole der Libido* (1912). W analizie porównawczej zestawiono takie teksty kultury jak Biblia, Upaniszady, epos o Gilgameszu, Odeysei, a także dzieła Goethego i Nietzschego. Na bazie zestawień tych dzieł, Jung dochodzi do wniosku, iż w nieświadomości zbiorowej zachodzi zjawisko wprowadzenia elementów fabularnych w rzeczywistość symboliczną ukazującą dynamikę procesu nieświadomego. Zatem mamy do czynienia z manifestacją symboli

poprzez mity, które ulegają modyfikacjom, jednak wspólnym wzorcem ich konstrukcji pozostaną archetypy, czyli wspólne dla każdego człowieka elementy nieświadomości. Dla zobrazowania definicji archetypu Jung użył porównania go do koryta rzeki, w którym płynie nurt życia psychicznego. To również ukazuje drugą cechę archetypu, a mianowicie zdolność do transformacji energii psychicznej z niższego na wyższy poziom (źródło, a delta końcowa rzeki). Z drugiej strony to mity wyrażają ukrytą sferę psychiki człowieka, a jednocześnie stanowią dla niej rolę stymulatora. Należy podkreślić, że nieświadomość nie jest hermetyczną częścią jaźni, ale interferuje z ludzką świadomością co Jung określa jako funkcję transcendentną. [3]

Warto podkreślić, że Jung w odróżnieniu od Freuda nie uważał jakoby libido miało swoje odzwierciedlenie jedynie w popędzie seksualnym. Postrzega je w odniesieniu do koncepcji Schopenhauera jako manifestacji wewnętrznej woli i pragnienia. Określa je jako neutralną energię psychiczną, która odzwierciedla się w obrazach światła, ognia i słońca. Jak wiemy, te motywy leżą u początków większości religii naturalnych. Transformacje libido poprzez tworzenie analogii między procesem nieświadomym a światem zewnętrznym w symbolice, spełniają zatem w myśl tego rozumowania funkcję kulturotwórczą.

Jung dał się nam poznać jako wnikliwy badacz religii. Wbrew marksistowskiemu materializmowi postrzegał człowieka przez pryzmat eliadowskiego *homo religiosus*. W swojej duchowości Jung zrażony skostniałym systemem religijnym ojca-pastora, postawił na bezpośrednie doświadczenie Boga. Krytycy, który akcentowali jego nastawienie na wewnętrzne poznanie, zarzucają mu gnozę (uważny odbiorca z pewnością już dostrzegł charakterystyczny dla tego nurtu wyraźnie zarysowany w początkowym cytacie tekstu dualizm), jednak, jak mało kogo, trudno jest zamknąć Junga w tak ciasne ramy. Był niezwykłą, wielowymiarową postacią, która pozostawiła po sobie ogromną spuściznę. Dziś jego

twórczość jest cenna dla entuzjastów religioznawstwa, a także sympatyków koncepcji Tradycji Pierwotnej), którą Szwajcar zlokalizował niejako właśnie w nieświadomości zbiorowej.

[1] C. G. Jung „Wspomnienia, myśli, sny”

[2] K. Pajor „Śladami Junga”

[3] Błocian, I., 2002a: Nieświadomość mitopoetyczna. Wandlungen und Symbole der Libido C.G. Junga, in: R. Saciuk (Ed.), Psyche w sidłach iluzji. O psychoanalizie, Wrocław (Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego) 2002, pp. 133-141

Jarosław Ostrogniew - Co czytać? Subiektywny wybór literatury współczesnej. Część II



W niniejszym eseju przedstawię krótkie sylwetki kolejnych czterech pisarzy współczesnych, których twórczość może zainteresować czytelników „Szturmu”. Jako wstęp pozwolę sobie powtórzyć to, co napisałem w części pierwszej: „należy od razu zaznaczyć, że żaden z wymienionych tu autorów nie deklaruje się otwarcie jako nacjonalista. Co więcej – prawdopodobnie żaden z nich nie jest potajemnie nacjonalistą, choć część z nich sympatyzuje z naprawdę antysytemowymi ideami i ruchami; niektórzy w o wiele większym stopniu niż mogą otwarcie przyznać, jeśli chcą wciąż publikować i sprzedawać swoje książki”.

Przeciw samobiczowaniu białych

Pascal Bruckner jest jednym z najpoczytniejszych francuskich pisarzy, jednak nie jest zbyt znany poza granicami Francji. Jego twórczość stanowią niezłe powieści oraz bardzo ciekawe i bardzo kontrowersyjne eseje. Bruckner zaliczany jest do tzw. „nowych filozofów” (nouveaux

philosophes) – grupy francuskich intelektualistów, którzy doszli do głosu w latach 1970 i których tak naprawdę łączy jedynie sprzeciw – sprzeciw wobec poprzednich pokoleń francuskich intelektualistów, ich fascynacji marksizmem, uwielbienia dla komunizmu, bratania się z elitami, czy zamykania się w bezpiecznej wieży z kości słoniowej. Nowi filozofowie wystąpili przeciw trzem największym wówczas szkołom intelektualnym we Francji: klasycznym marksistom, egzystencjalistom oraz postmodernistom.

Nowi filozofowie oczywiście nie są już tacy nowi, a obecnie głównie znani są z publicznego popierania obecnego francuskiego (a właściwie anty-francuskiego) establishmentu. Jednak Pascal Bruckner mocno odstaje od swoich dawnych kolegów, co może być spowodowane faktem, że jako jeden z niewielu nowych filozofów rzeczywiście jest Francuzem. Bruckner uderza w tony „konserwatywne”, a przede wszystkim „anty-lewicowe” i „anty-intelektualne”. Jego największym wrogiem jest jednak zachodni masochizm i samobiczowanie się białych ludzi.

W swoim najbardziej znanej książce, niewydanym po polsku eseju „Le Sanglot de l'homme blanc. Tiers-Monde, culpabilité, haine de soi” („Płacz białego człowieka. Trzeci Świat, poczucie winy, samonienawiść”) krytykuje naiwne wyobrażenie francuskich i zachodnich „elit” intelektualnych o dobrych ludziach z Trzeciego Świata kolonizowanych przez złych i okrutnych Europejczyków. Bruckner uważa, że zachodni intelektualiści potrzebują bożka, którego będą mogli czcić – gdy upadł mit wspaniałego sowieckiego komunizmu, nowym bożkiem stali się „inni” - mieszkańcy Afryki, Azji i Ameryki Południowej, prześladowani przez białych kolonialistów. Intelektualiści napisali wówczas na nowo historię Europy, w której dali upust swojej samonienawiści i poczuciu winy, a następnie zaczęli wymuszać wiarę w ten nowy mit na całym społeczeństwie.

Po ponad 20 latach Bruckner napisał kontynuację tego eseju – wydaną po polsku książkę „Tyrania skruchy. Rozważania na temat samobiczowania

Zachodu”. Tutaj Bruckner uderza już w znany nam dobrze wymuszony multikulturalizm, który stał się oficjalną ideologią anty-zachodnich elit. Warto wspomnieć, że to właśnie eseistyka Brucknera stała się jedną z inspiracji dla opisywanego w poprzedniej części Michelle’a Houellebecq’a, a zwłaszcza dla jego krytyki pokolenia ‘68, wielokulturowości oraz lewicowej ideologii. Warto zapoznać się z tą książką Brucknera, ponieważ pozwala ona lepiej zrozumieć ideologię, która obecnie kształtuje politykę całej Unii Europejskiej. Co prawda Bruckner popełnia sporo błędów w swoim myśleniu, ale o nich będzie więcej w dalszej części.

Kolejny element twórczości Brucknera stanowią powieści. Spośród kilku wydanych po polsku warto zapoznać się z „Gorzkiemi godami” (bardziej znanymi jako ekranizacja autorstwa Romana Polańskiego). Jest to mroczna i erotyczna historia opowiadająca o sile pożądania i fascynacji, a także dominacji i uległości. Jednak nie jest to kiepska pornografia dla Grażynek w stylu „50 twarzy Greya” czy „365 dni”. Bruckner pokazuje, że pożądanie jest mroczną siłą, która jest o wiele silniejsza od człowieka, która może go opętać i zniszczyć – i dlatego być może nie warto zbyt wiele z nią igrzać. Książka ta jest również wymierzona w ugrzecznioną, mieszczańską wizję seksu i erotyki – którą konserwatywny filozof Roger Scruton uważał (jako przejaw ckliwego sentymentalizmu) za jeden z gwoździ do trumny tradycyjnego społeczeństwa. Zatem jest to krytyka szczególnie ciekawa, ponieważ nie jest wyprowadzona z pozycji lewicowych i nie sprowadza się do komunałów o potrzebie wyzwolenia czy wypróbowania

wszystkiego.

Drugą interesującą powieścią Brucknera są wydani po polsku „Pariasi”, w których za pomocą medium fabularnego eksploruje on wątki poruszane we wspomnianych wcześniej esejach: relacje między Pierwszym a Trzecim Światem, poczucie winy, samobiczowanie, kompleks „białego mesjasza”, czy w końcu brutalną rzeczywistość azjatyckich społeczeństw.

Pascal Bruckner popełnia niestety wielu błędów w swoim rozumowaniu –

wpada w uwielbienie dla Stanów Zjednoczonych, popiera amerykańskie interwencje militarne, broni „zachodnich wartości” przed islamem... Sporo jest u niego „boomerowania” czy po prostu irytującego „liberalnego konserwatyzmu”. Jednak doceńmy go za to, w czym ma rację, czyli za krytykę zachodniego masochizmu.

Winny

bycia

białym

Bret Easton Ellis jest jednym z najbardziej znanych nieznanym autorów amerykańskiej literatury współczesnej. Z pewnością wielu z was nie kojarzy tego pisarza, ale w z pewnością większość z was zna ekranizację jego najważniejszej powieści: „American Psycho”. Ellis jest po tym względem podobny do opisywanego w pierwszej części eseju Chucka Palahniuka – ekranizacja jego powieści zyskała sławę o wiele większą niż jego książki, stając się jednocześnie przedmiotem licznych kontrowersji. Zresztą podobieństw między Ellisem a Palahniukiem jest więcej: obaj lubią poruszać kontrowersyjne tematy, obydwoj lubią stosować narrację w pierwszej osobie, często wykorzystują technikę strumienia świadomości, ich twórczość jest wyraźnie transgresywna, jednak nie szokują dla samego szoku i próbują zmusić czytelnika do refleksji nad kryzysem zachodniego społeczeństwa. Co więcej – obaj mieli predyspozycje, aby stać się bożyszczami liberalnych salonów: obydwoj są nawet „waginosceptyczni”. Jednak obydwoj postanowili iść swoją własną drogą i zamiast bożyszcz stali się „enfants terribles”, a w ostatnim czasie nawet wyklętymi heretykami.

Zacznijmy od najgłośniejszej powieści Ellisa – nawet jeśli oglądałeś „American Psycho”, koniecznie przeczytaj książkę. Jest to mniej więcej to samo – ale bardziej i więcej. Więcej absurdalnych wywodów o egzotycznym jedzeniu i dobieraniu krawata, więcej genialnych tekstów o twórczości Whitney Houston i Huey Lewis And The News, więcej „beki z yuppies”, więcej morderstw i więcej groteski. Powieść to wewnętrzny monolog – strumień świadomości młodego i pięknego biznesmena, który

(spoiler alert) jest w rzeczywistości przegrywem zatrudnionym na fikcyjnej posiadłości w korporacji swojego ojca i który (spoiler alert), aby zrehabilitować swoje przegrystwo wymyśla sobie, że jest seryjnym mordercą. Warto wspomnieć, że o wiele bardziej rozbudowane niż w filmie refleksje na temat jedzenia w drogich restauracjach, zasadach męskiej elegancji, czy twórczości gwiazd pop z lat 80-tych są zmyślane i nie mają zbyt wiele wspólnego z rzeczywistością. Zarówno film jak i książka ściągnęły na Ellisa gromy – głównie ze strony feministek, które oskarżyły go o mizoginię oraz inne myślozbrodnie.

Powieść „(Od)loty godowe” („Rules of Attraction”) jest utrzymane w podobnej do „American Psycho” tematyce i stylistyce – niestety nie jest już tak dobra, a jej ekranizacja jest o wiele słabsza od filmowej wersji wesołych przygód Patricka Batemana.

W 2019 ukazał się zbiór esejów Ellisa zatytułowany po prostu „White” - już sam tytuł sprawił, że autor znów znalazł się pod ostrzałem lewicy i liberałów. Czy zasłużenie? Tak i nie. Ellis słusznie zauważa, że bycie gejem, modnym pisarzem, przynależność do bohemy, czy nawet posiadanie nieprawicowych poglądów już nie wystarczy, aby zostać zaakceptowanym przez system. Na świecie toczy się obecnie wojna kulturowa przeciw białym – o czym przekonują się kolejne grupy, które dotychczas były akceptowane czy popierane przez system, jak chociażby homoseksualiści czy feministki. Jesteś biały = jesteś zły i przynależność do żadnej mniejszości czy deklarowanie jakichkolwiek poglądów cię przed tym nie uchroni. Jednak większość książki nie stanowi rozważania o byciu białym, a raczej dość specyficzna wizja establishmentu i walki z nim na polu kultury, którą wymyślił Ellis, a która – moim zdaniem – jest momentami dość daleka od prawdy. Nie zmienia to jednak faktu, że jest to bardzo ważny kij wsadzony w systemowe mrowisko i należy cieszyć się z faktu, że kolejny pisarz zgłasza sprzeciw wobec lewicowo-liberalnej hegemonii.

Petr Stančík jest czeskim artystą, który tworzy poezję, filmy, scenariusza – ale który przede wszystkim znany jest ze swoich powieści. Wbrew stereotypom na temat czeskich pisarzy czy czeskich artystów – nie jest liberałem, dla którego nie ma żadnych świętości poza spokojnym życiem. Jednak zgodnie ze stereotypem na temat czeskich pisarzy – uwielbia stylistykę groteski i pisze głównie o Czechach.

W Polsce – o dziwo, dzięki staraniom naczelnego liberalnego czechofila – ukazały się dwie powieści Petra Stančíka: „Młyn na mumie” oraz „Bezrożec”. Obie są do siebie bardzo podobne – utrzymane w konwencji kryminału (świadomej konwencji, wpadającej w pastisz), akcja ma miejsce w zakamarkach czeskiej Pragi, pojawiają się gospody i burdele, orgie i morderstwa, do tego tajne stowarzyszenia i spiski. Jest w tym klimat zarówno czeski jak i austriacki, mnóstwo groteski, ale też głębszych pytań na temat sensu życia, czy radzenia sobie ze złem obecnym w świecie. Obie powieści są świetnie napisane - Petr Stančík pisze żywym i plastycznym językiem, co więcej jego książki czyta się bardzo dobrze, co w dużej mierze wynika z zastosowania angażującej czytelnika konwencji kryminału. Jednak – jak już wspomniałem – nie jest to pusta literatura, efekciarska, tworzona jako produkt do zabicia czasu. Petr Stančík wplata w swoje powieści dużo ważnych pytań i refleksji.

Sam Petr Stančík określa się jako monarchista i jego poglądy mocno odstają od pozostałych czeskich pisarzy – a raczej od pozostałych czeskich pisarzy promowanych w Polsce. Jego wypowiedzi idą z reguły wbrew lewicowo-liberalnym salonom, a on sam wspiera różne słuszne inicjatywy metapolityczne jak chociażby czeskie inicjatywy z kręgu „Nowej Prawicy”. Oczywiście o tym nie dowiecie się z not biograficznych zamieszczanych na okładkach jego polskojęzycznych wydań, ale od czego jest „Szturm”?

Wasył Szklar (Василь Шкляр) jest ukraińskim pisarzem, którego debiut przypada jeszcze na czasy ZSRR, ale który prawdziwą karierę zrobił w ostatniej dekadzie. Pisał reportaże oraz powieści obyczajowe, ale naprawdę znany jest ze swoich powieści historycznych.

Najbardziej znaną powieścią Szklara jest „Czarny kruk” („Чорний ворон”), której tematem jest działalność bojownika o niepodległość Ukrainy, walczącego w czasie wojny po rozpadzie Imperium Rosyjskiego partyzanta Wasyla Czuczupki. W podobnej tematyce utrzymana jest jego kolejna powieść „Marusia” („Маруся”) - tym razem poświęcona kobiecie – przywódczyni ukraińskich partyzantów: Oleksandrze Sokołowskiej. Kolejna powieść „Троця” poświęcona jest partyzantom UPA walczącym przeciw Armii Czerwonej po zakończeniu II wojny światowej.

Jednak najciekawszą z naszej perspektywy powieścią Szklara jest „Czarne Słońce” („Чорне Сонце”) poświęcone żołnierzom pułku Azow. Szklar jest doświadczonym reportażystą, pisał relacje między innymi z wojny w Czeczenii. W czasie wojny w Donbasie pojechał na front razem z pułkiem Azow, czego efektem jest właśnie ta krótka powieść. Szklar przedstawia w niej przede wszystkim motywację żołnierzy Azowa – ochotników, którzy porzucili wygodne życie, aby walczyć z narażeniem życia o swoją ojczyznę. Szklar potrafi bardzo dobrze budować charaktery swoich bohaterów (którzy w tym wypadku w większości są po prostu literackim obrazem rzeczywistych, znanych mu osobiście prawdziwych osób). Z reporterską dokładnością przedstawia też codzienność wojny – z całym okrucieństwem, zmęczeniem, bohaterstwem, ale też tragedią, nudą i absurdalnym komizmem. Porusza też kwestie świadomości narodowej mieszkańców wschodniej Ukrainy, a także sporów ideologicznych w społeczeństwie ukraińskim. Co ciekawe, potrafi też ze zrozumieniem pisać o separatystach, natomiast nie ma litości dla ukraińskich polityków.

Twórczość Szklara ma ogromne uznanie wśród ukraińskich czytelników,

co przekłada się na duże nakłady kolejnych pisanych przez niego książek. Pewnym ukoronowaniem jego kariery jest przyznanie mu nagrody imienia Tarasa Szewczenki w 2011. Żadna powieść Szklara nie została jeszcze przetłumaczona na polski – a szkoda, bo jest to literatura popularna napisana dobrze i zawierająca sporo refleksji na temat społeczeństwa czy narodu, a także relacji między człowiekiem a historią. Z pewnością przetłumaczenie twórczości Szklara na język polski pomogłoby lepiej zrozumieć Polakom współczesnych Ukraińców.

Jarosław Ostrognew

Michał Ostrzycki - Reforma głoszenia przekazu a zdrada w środowiskach nacjonalistycznych XXI wieku



W ciągu ostatnich kilku lat coraz bardziej ogniskuje wewnętrzny spór w polskich ruchach nacjonalistycznych, który dzieli te ruchy na dwa obozy. Pierwszym obozem są nacjonaści, którzy dostrzegli, że subkulturyzacja nacjonalizmu, obnoszenie się z symboliką niezrozumiałą (a wręcz odstraszącą, bo zwyczajnie źle się kojarzącą) czy prowadzenie retoryki nieprzystosowanej do odbioru przez przeciętnego Polaka skutkuje staniem w miejscu i prowadzi do duszenia się we własnych, hermetycznych już grupach. Drugim obozem natomiast są ci nacjonaści, którzy tego jeszcze nie zrozumieli, przez co zachowaniem, symboliką, retoryką i wyglądem odstraszą zewnętrzných odbiorców swego przekazu. Często obwiniają przy tym działaczy z pierwszego obozu o zdradę wartości, porzucenie pierwotnej idei, strach przed krytyką czy podejmowanie prób przypodobania się i zdobycia poparcia, przypłacanych porzuceniem

fundamentalnych wartości. Jednocześnie widząc, że obrona przez nich taktyka jest nieprzychylnie odbierana przez ogół odbiorców, zwiększają natężenie jej stosowania, idąc tym samym na wojnę ze społeczeństwem, w której wydawać by się mogło, że robią mu na złość i liczą na to, że tym samym przekonają je do siebie.

Konflikt ten wydawać się może żaloszny. W końcu oczywistym jest, że nacjonalizm to idea aktywizmu wywodząca się z miłości do własnego Narodu, która polega na nieustanym dążeniu do Jego dobra, a co za tym idzie, wymaga wielu poświęceń i wyrzeczeń. W myśl tej zasady, wyrzeczenie się subkulturyzacji działalności nacjonalistycznej powinno być wręcz naszym (jako nacjonalistów) obowiązkiem, jeśli tylko jest to niezbędne aby przekonać nowych ludzi do naszych wartości. I zgadza się – powyższe stwierdzenie jest prawdą. Ruchy o profilu nacjonalistycznym w Polsce (w Europie zresztą również) pilnie potrzebują pod tym względem reform, które sprawią, że zamiast odstraszać od siebie odbiorcę naszego przekazu symboliką pokroju czarnego słońca, zaczniemy być dla niego reprezentantami alternatywy życiowej, nad którą zechce on się poważnie nachylić i rozważyć podążenie jej drogą.

Czy oznacza to jednak, że mamy raz na zawsze porzucić flagi z krzyżami celtyckimi, opaski z falangami, czy koszulki z czarnymi słońcami? Nie, to oznacza, że mamy przestać wciskać tę symbolikę na siłę ludziom, którym źle się ona kojarzy, czyli większości oraz nie czynić z niej jedyne go elementu rozpoznawalnego dla naszych ruchów. Jeśli tylko przeciętny Polak na widok krzyża celtyckiego myśli o nowej swastyce, to ile razy byśmy tego symbolu nie malowali na murach, nosili na ubraniach, drukowali na ulotkach czy mówili o jego znaczeniu w ruchu, to najprawdopodobniej (a już na pewno w większości takich przypadków) wciąż nie zmienimy tego jak będzie mu się on kojarzyć. Zamiast przyprawiać ogół społeczeństwa o mdłości znaną nam (i prawie tylko nam) symboliką powinniśmy zadbać o to, abyśmy my sami, jako narodowcy, zaczęli być zapamiętywani, rozpoznawani i kojarzeni poprzez swe

postulaty i działania a nie tylko wygląd zewnętrzny. Nadszedł czas by to zrozumieć i odłożyć pewne emblematy na bok, aby sięgnąć po nie kiedy będzie na to odpowiednia pora. Oczywiście nadal powinny być one subtelnie wspomniane czy wyciągane na pewne okazje, a nawet na co dzień, w końcu przekonywanie do nich ogółu też powinno być naszym (odległym i nisko umieszczonym w hierarchii wartości, ale jednak) celem, lecz słowo „subtelnie” jest tu kluczowe.

Liczba nacjonalistów, którzy zdecydowali się podążyć tą drogą jest w tej chwili niestety bardzo skromna. Ale nawet „obóz reformatorów” jak chciałoby się nazwać ten pierwszy, popełnia bardzo często olbrzymi błąd, dając tym samym paliwo do uzasadnionej krytyki obozowi opowiadającemu się za „dawnym porządkiem”. Mowa tu o faktycznej zdradzie idei narodowej. Niektórzy bowiem oprócz zmiany retoryki, dawkania pewnej symboliki, czy też po prostu zastosowania innego typu formy przekazu, magicznie zmienili także swoje poglądy. Tak nagle jak z ich sztandarów zniknął krzyż celtycki na ich ustach pojawiły się twierdzenia, iż murzyn może być Polakiem. Wraz z porzuceniem falangi stali się zwolennikami liberalizmu i kapitalizmu.

Nie jest to oczywiście przyczyną odrzucenia pewnych symboli, ich obecność nie determinuje bowiem posiadanych poglądów. Winę za wpędzenie nacjonalistów w ten ciemny zaułek ponoszą przede wszystkim ludzie, którzy nimi kierują – ich przełożeni, którzy zapędzili się we wspomnianych reformach. To oni podążyli drogą sprzedawczyków. Zamiast przystosować samą formę promowania wartości do odbioru przez społeczeństwo, przystosowali wartości, tak aby były one atrakcyjne dla tego społeczeństwa. Nacjonalizm w chwili obecnej opiera się na obronie i walce o pewne fundamentalne prawdy i idee. Nie jest natomiast tajemnicą, że większość ludzi się z nimi nie zgadza a my, jako narodowcy, jesteśmy w zdecydowanej mniejszości, która głosi niewygodną dla nich prawdę. Naszym zadaniem jest przekonać tę większość do naszych racji, tymczasem część z nas obrała drogę przypodobania się większości,

polegającą na przyporządkowaniu się pewnym nowym i obcym idei narodowej dogmatom. Przykładem mogą być chociażby politycy Ruchu Narodowego, którzy to zawiązali sojusz z liberałami i dziś głoszą liberalne hasła, dzięki którym pozyskują nowy elektorat. Głosząc niewygodną prawdę trzeba zmodyfikować sposób jej głoszenia, w ten sposób aby trafiła ona do innych, a nie podmieniać prawdę na kłamstwo, które oczywiście o wiele łatwiej zostanie przyswojone przez ludzi.

W ten właśnie sposób liderzy pewnych czołowych ruchów nacjonalistycznych są odpowiedzialni za utworzenie armii nieświadomych zdrajców idei narodowej. Co zabawne, są to w większości liderzy, którzy twierdzą, iż kształtują swych podopiecznych na świadomych narodowców. Oczywiście ci drudzy też są winni tej sytuacji, bowiem będąc nacjonalistami powinni dbać o swój samorozwój i dostrzegać błędy swych przełożonych, a nie ślepo za nimi podążać. Nie zmienia to jednak faktu, że są oszukiwani przez osoby, którym ufają i często są ich autorytetami. To na ile świadomi tej zdrady są owi liderzy pozostaje dla nas zagadką. Choć sam nie wiem czy chciałbym znać odpowiedź na te zagadnienie. Bowiem zarówno możliwość tak ogromnej niekompetencji ludzi kierujących czołowymi ruchami o profilu nacjonalistycznym, jak i ich świadoma zdrada oraz wprowadzanie w błąd swych organizacyjnych kolegów, wydają się być niesamowicie i chyba nawet równie przerażającymi. Klaruje się nam więc jasny podział na kolejne dwie grupy narodowców. Są to reformatorzy, którzy stali się nieświadomymi zdrajcami idei (bo przecież większość z nich, bez wątplenia nadal kieruje się miłością do Ojczyzny) oraz zwolennicy starego porządku, którzy coraz częściej nazywani są „przypałowcami”, bo najzwyczajniej w świecie nie rozumieją swych błędów, ponadto odstrasza ich od nas społeczeństwo oraz dają pożywkę dla naszych wrogów, którzy to fakt ten z chęcią wykorzystują by nieustannie krytykować nasze ruchy. Większość jednych i drugich chce dobrze dla naszego Narodu, ale przez swe niezrozumienie sytuacji działa na jego szkodę. Główna różnica pomiędzy nimi jest taka, że jedni zdradzili poprzez zmianę postulatów o które walczą, a drudzy twardo stoją przy

pierwotnych ideałach, jednakże stoją także w miejscu walcząc o nie w bardzo nieudolny sposób. Obie te grupy karmią się także pewnymi kłamstwami. Pierwsi uważają, że są nowoczesnymi narodowcami, którzy odnieśli sukces reformując swą działalność, ponieważ zauważyli wzrost poparcia dla nich w społeczeństwie. Jest to o tyle kłamstwem, że nie odnieśli absolutnie żadnego sukcesu na polu działalności narodowej. Niczym kameleon swój kolor, zmienili oni po prostu fundamenty głoszonych przez siebie poglądów co poskutkowało pozyskaniem zwolenników z innego miejsca spektrum światopoglądowego. Drudzy z kolei twierdzą, iż powodem ich niepowodzeń w przekonywaniu do siebie społeczeństwa jest zbyt małe natężenie bombardowania go swoim przekazem, gdy w rzeczywistości tej zniechęcającej i odstraszaającej formy przekazu, ludzie mają już od dawna dość.

Podsumowując ten krótki artykuł, będący zbiorem moich spostrzeżeń nabytych w trakcie bezpośredniego uczestnictwa w życiu społecznym jako narodowy aktywista, pragnę także podzielić się moją opinią co do tego, w jakim kierunku pójść powinny szeroko rozumiane ruchy narodowe w Polsce. Porzucić należy zbędny sentymentalizm co do symboliki źle kojarzącej się pośród ogółu społeczeństwa. Zachować ją i używać w dalszym ciągu, ale nie wykorzystywać jej niczym młota do wbijania swych wartości ludziom z zewnątrz w głowy. Musimy skończyć z sytuacją, w której przeciętny Polak słysząc słowo „nacjonalizm” ma przed oczyma krzyż celtycki, falangę lub czarne słońce, a nie potrafi wymienić ani jednego postulatu naszego środowiska czy chociażby samej definicji Narodu przez nas używanej. Dążyć musimy do tego, abyśmy dali się poznać po swych czynach i po nich też byli kojarzeni wśród ludzi. To samo tyczy się naszej retoryki, sposobu działania, czy też kanałów, którymi staramy się dotrzeć do odbiorców z zewnątrz. Musimy przystosować formę głoszenia przez nas przekazu tak, aby trafiał on i przemawiał do grupy docelowej. Strzec się natomiast musimy, abyśmy przy tych wszystkich reformach i przystosowywaniach, nie zmienili swych wartości o których zaszczepienie w sercach naszych Rodaków cały czas przecież walczymy.

Zdaje się, że spora część szeroko rozumianej lewicy zrozumiała to już dawno, przez co dziś bierze czynny udział w kreowaniu naszej codziennej rzeczywistości i dyskursu politycznego. Jej przedstawiciele potrafili (przynajmniej na pierwszy rzut oka) schować do kieszeni sierp i młot, czerwone sztandary i wizerunki Marksa czy Engelsa nie zmieniając przy tym w żaden sposób przekazu, którym skutecznie zatruwają młode pokolenia. Zostaliśmy sporo w tyle, ale przecież mamy gotową strategię na nadrobienie zaległości. Użyjmy jej!

Michał Ostrzycki

Patryk Płokita - Lisowczycy w kominiarkach. Część 1



Budzę się z marazmu, jakbym był po ostrym picciu. Myślę, że to może być kac, ale na pewno to nie on. Ja w zupełności nic nie piłem. Jestem. Osiągnąłem cel. Udało się, odkąd mam syna. Zrobiłem to dla niego. Rzuciłem fajki. Rzuciłem alkohol. Jestem czysty. Bez uzależnień. Jak na nasze czasy, to spory sukces osiągnąłem pod tym kątem, mój drogi pamiętniku.

Budzę się rano i patrzę na moją żonę. Ledwo śpi po ostatnich wydarzeniach w nocy. Spokojnie leżę. Patrzę na nią. Nie chodziło tu o zemstę, to jest dla małostkowych ludzi. To nie była vendetta w stylu włoskim. Po prostu, to była sprawiedliwość w czasach, kiedy państwo ma nas w dupie i broni bandytów. Niestety musiałem wziąć sprawy w swoje ręce. Drogi pamiętniku, muszę cię niestety zamknąć. Ktoś się dobija do drzwi z rana. Bardzo to dziwne, ale spodziewałem się tego. W końcu zrobiłem coś, wbrew utartym schematom, dogmatom, czy innym wypierdom tego systemu, który swą propagandą „karmi nas dobrobytem”, a tak naprawdę

wysysa z nas wszystkie możliwe opcje społeczne. Obdziera nas z duszy i wprowadza w stan krótkiej euforii, abyśmy nie mogli myśleć racjonalnie. Dlatego wyszedłem z nałogów i zobaczyłem świat brudny, i obdarty ze skóry społeczeństwa, w imię nowych dogmatów religii, jaką jest nauka, mózgozjeby pracujące dla megakorporacji. Dla tych ostatnich liczy się tylko zysk. Człowiek jest marionetką. Lalką, którą możesz zamienić na lepszy model. Tak wygląda świat...

...

Nie dokończył zdania. Ktoś uderzył z impetem drzwi, z buta. Nagle do pokoju wpadają służby specjalne. Młodego ojca, Jaromira do ziemi przygniata kolano. Gość w uniformie. Nie widać twarzy. Czarny nowoczesny strój od Amerykanów. Pierwsze pancerze wspomaganie weszły na rynek. Dziwnie wyglądają, gdy na nie zerkasz z boku. To nie żaden „Fallout” czy „Stalker”. Serwomotory podpięte tak jakby do skóry. Bardziej to jest biomechaniczny skafander. przypomina tego typka z filmu „Elysium”, z 2012 roku. (Koniecznie obczaić musisz, jak nie widziałeś!)

Wracając co do Jaromira. Wpadła ekipa, bo to według systemu „terrorysta”, „faszysta”, „homofob”, no i biały, więc z automatu „rasista”. Ma łysą czachę, ale nie jest skinheadem. Nie czci Adolfa Hitlera i nie ma jego portretu w domu. Po prostu zrobił to, co by zrobił każdy mężczyzna, jeśli ktoś krzywdzi jego ukochaną. Akt sprawiedliwości, w czasach, gdzie na trackach xanax, depresja, i inne duperele przepychane przez system, ściągające cywilizację europejską w dół, z którego wyjść będzie trudno, ale miejmy nadzieje, że będzie to możliwe.

...

- Kochana Dobrawo, wychodzisz dzisiaj na miasto?
- Tak mój mężu Jaromirze. Będę z koleżankami w pizzerii. Wiesz chcemy się spotkać, dawno się nie widziałyśmy. Musisz zrozumieć że niedawno urodził się nam syn. Dobrze, że śpi. Nie będziesz miał problemów z przebraniem go, jeśli coś narobi w pory?
- Nauczyłaś mnie jak to robić. Pokazałaś filmy na youtube. Wiesz że mamy zupełnie inne czasy. Musimy się uzupełniać w małżeństwie, tak jak nas uczył psycholog na kursie przedmałżeńskim.

Dobrawa ucałowała Jaromira w czoło. Młode małżeństwo namiętnie okazywało sobie uczucia w czasach, gdzie degeneracja społeczna poszła w zastraszającym tempie. Ludzie zwariowali. Nowa dekada, kiedy ludzie wszczepiają sobie implanty pochodzenia zwierzęcego. Kocie oczy wyostrzające wzrok. Psi słuch, czy węch. Bardzo to kosztowne, ale usprawnienia powoli wchodzi na rynek. A na czarnym rynku, są inne „ulepszacze”, które niestety szwankują, a ludziom odpierdala w dekle. Dla przykładu wszczepiają sobie gen świni odpowiedzialny za orgazm, i podczas wylotu spermy dochodzą przez... pół godziny. Czyste zwyrolstwo w czasach, kiedy gangi ze strefy "no go" plądrują i gwałcą już w Polsce. Tak wygląda nadczołowiek? Czy to już jego upadek?

Policja ma to w dupie, a rząd nie ma pomysłu. Smerfy wolą żulowi wystawić mandat, niż się ciągnąć po sądach, za to, że zamkną kogoś ze strefy „no go”, bo to już „rasizm”. Poprawność polityczna i jej kaganiec rozwinął się w naszym świecie jeszcze bardziej. Jak rak trawi Europę. Minęła tylko dekada a w Polsce mamy podobny syf, jak we Francji w 2020 roku. Płoną samochody. Dochodzi do kradzieży. Media megakorporacji milczą... A szary człowiek, do tego biały, jak to brzmi „rasistowsko”, ma gorzej u siebie, niż przybysz z Afryki, Azji czy nawet z kontynentu amerykańskiego. Tak dokładnie jest teraz u nas...

Polska niedawno otworzyła granice dla „Meksykańców”. „Gringo” pada z ust co chwila, chociaż to my jesteśmy rdzennym ludem w Europie. A czemu przybyli latynosi do Polski? W imię „wolnej demokracji” oczywiście... W postaci murów, na granicy USA-Meksyk. To już nie są druty kolczaste z podpiętym prądem. Tam są mechaniczne potwory. Bestie ze sztuczną autonomiczną inteligencją. Zabijają oceniając kto ile ma melaniny... Jak masz jej za dużo to cię atakują. Powtórzę jeszcze raz. Tak wygląda „demokracja” w „praktyce”.

Ciekawe. Jak patrzysz w wiadomościach informacje na ten temat. Amerykańscy żołdacy... Wszyscy biali. Czemu nikt tutaj nie czepia się o rasizm? A bo to wina nowej technologii, które mądre głowy nie potrafią obejść...

...

Winny całej sytuacji w Polsce oczywiście spierdolony system i dyktat „Pax Americana”. Pomimo tego, że pomału się kończy, to nasze przydupasy, przy korycie, i tak wychodzą z demoliberalnym syfem. Sprowadzili Hindusów, Turków i Tajów do pracy. Z tymi ostatnimi był najgorszy problem, bo nagle na ulicach pojawiła się dziecięca prostytutka i transy z piersiami i przyrodzeniami. Początkowo policja ich karała za to. Potem „Wielki Brat zza morza” powiedział „nu nu nu, nieładnie, rasizm, ogarnijcie to”. To zaprogwamowane mózgi poprawnością polityczną zrobiły nam syf w Polsce...

To nie jest też tak, że mam coś do tych ludzi, jako narrator tej zastanej

naszej posranej rzeczywistości, opisuję jak jest... Po prostu, im więcej obcego etnosu w innym etnosie, to co się dziwić, że dochodzi do takich akcji. To jest po prostu naturalne i niezmiennie od lat. W ten sposób chcą globaliści rozpieprzyć ostatnie państwa narodowe. Szuria? Teorie spiskowe? Skądże znowu.

Homo-etniczność na świecie zamiera. Jedyne zachowała się w Chinach, bo tam komuchy rządzą... Europa gnije na naszych oczach, a stara zasada, z czasów rzymskich, „dziel i rządź” nadal aktualna. Udała się też w Polsce. Kapitalizm powywracał politykom w głowach. Przestali dbać o swoich. Zaczęli dbać o to, co powie nam „Wielki Brat zza morza”, żeby nie było sankcji. Ale z drugiej strony sami mają problem, bo mają wojnę hybrydową z Meksykiem.

...

Dobrawa wyszła na miasto. Pogadała z koleżankami w pizzerii. Wyszła około północy z pizzerii. Starła się omijać strefy „no go”. Miała przy sobie gaz pieprzowy, od męża. Uśmiechnięta młoda mama wraca na kwaterę. Nagle słycać uderzenie i trzask. Pada na ziemię. Ciemniźca uderzył ją w tył głowy. Zabrał za winkiel. Otumaniona nie miała jak się bronić. Zaczął dobierać się do niej. Zrobił co miał zrobić i zostawił ją na miejscu.

...

- Kochanie co się stało wczoraj na mieście? To jest tragedia!
- Muszę iść na badania. Napadli mnie i chyba... Nie mogę o tym mówić. Ja już ryczę. Zobacz co się ze mną dzieje! To jest nie do wytrzymania!

- Co się dokładnie stało? Opowiedz mi kochanie, wiem, że jest to trudne. Ale muszę wiedzieć!, aby działać dalej z tym kurestwem!!!
- Ogłuszył mnie... i zgwałcił. Coś wycieka mi z dołu...
- A to skurwysyn najgorszy! Widziałaś napastnika?
- Ogłuszył mnie mężu mój. Nie wiem co mam robić...
- Jedziemy na obdukcję, Dobrawo. Nie ma co czekać.

...

Lekarz na miejscu stwierdził gwałt. Jaromir zacisnął pięści. Poczul jednocześnie chęć zemsty, ale nie chciał się tym upadlać. Poczul zew sprawiedliwości. Sprawiedliwości na rzecz młodej matki. Sprawiedliwości dla młodego syna. Sprawiedliwości dla każdego Polaka, bo każdy z nich może paść ofiarą bydła ze stref „no go”. A ty, co byś zrobił?

...

Mój drogi pamiętniczku. Tu Jaromir. To mój pierwszy wpis do Ciebie. Rozpocząłem moje prywatne dochodzenie. Zebrałem informacje na temat gwałtów przy strefie „no go”, w centrum Lublina. Już wiem, kto dokonał tej zbrodni. Nazywa się Joseph Gübelz. Turek niemieckiego pochodzenia. Działamy.

Zaplanowałem strategię. Atakuje przeważnie między godziną 23 a 1 w nocy. Atakuje samotne kobiety, ogłuszając je a potem gwałcąc. Robi to jakimś narzędziem. Na pewno to nie baseball, bo by na miejscu zabił. Jeszcze nie stał się takim zwyrolem, aby bawił się w nekrofilie, ale znam takie przypadki we Wrocławiu. Te kurwy się rozpasły u nas a policja ma to w dupie!

Co do tego narzędzia, którym uderza w tył głowy, to raczej sztacheta, albo jakiś kij. To jest mało ważne. Ja jestem przygotowany. W plecaku mam maczetę. Naostrzyłem ją oselką. Trzeba działać. Pewnie wezmą mnie za wariata, jak tego dokonam, będę musiał się ukrywać pod maską w kominiarce, może mnie nie znajdą. Ubrany cały na czarno zlewam się niczym Batman z mrokiem nocy. Tak przynajmniej to planuje. Dobra. Działamy. Nie ma na co zwlekać. Niech sprawiedliwości, stanie się zadość!

2 września 2050 roku.

P.S.

O nawet nie wiedziałem, że to rocznica początku bitwy pod Chocimiem z 1621 roku. Ta data rozpierdala mi system. Trzeba działać!

...

Jaromir poszedł w to samo miejsce, gdzie miesiąc wcześniej, dokonano aktu wandalizmu na jego żonie. Wandalizmu. Jak to brzmi w ustach dziennikarzy, jak ci gwałcą żonę? Bynajmniej źle. Jaromir założył kominiarkę i ubrał się w czarny strój. Stał przy winklu jednej z klatek. Praktycznie najebani ludzie omijali go szerokim łukiem myśląc, że jest resztą struktury budowli. W końcu mrok robi swoje, a słabe oświetlenie pomogło mu się ukryć. Warto dodać, że w tym miejscu gdzie stał, nie było żadnego światła ani latarni.

Jaromir zapomniał wspomnieć w pamiętniku, że zakupił najnowszy model

noktowizora z możliwością termowizji. Bardzo było mu to pomocne, kiedy hakerski program, który sam zamontował, pomagał mu wyczuwać feromony genetyczne danej obserwowanej jednostki. Wyglądało to mniej więcej tak, że jak patrzył na Polaka to wiedział, że to Polak. Gdy patrzył na obcokrajowca to wiedział, czy to jest Niemiec, czy Turek. Oprócz tego, wykrywanie kodu DNA, przez wydzieliny, jak ślina, smarki, ułatwiały w wykonaniu zadania. W znalezieniu gwałciciela. W końcu miał kawałek jego spermy. Raczej nie zmutował w przeciągu miesiąca. Jeszcze nie ma takiej technologii na tym świecie, na 2050 rok. Zobaczmy, co się wykluje z tej sytuacji następnym razem.

Autor:

Patryk Paweł Płokita

Maksymilian Ratajski - Dość tęczowej
bezczelności



Środowiska spod znaku tęczowej szmaty przekroczyły kolejną granicę. Były już parodie Mszy świętej na paradzie równości, tęczowa "aureola" na wizerunku Matki Boskiej Częstochowskiej zrobiła bardzo dużą karierę i stała się jednym z ulubionych symboli piewców "tolerancji".

Pierwszy raz usłyszałem o sprawie jadąc samochodem - włączyłem radio, żeby posłuchać jakiejś muzyki. Słyszając, że "organizatorzy akcji mieli jako cel walkę z homofobią", myślałem, że zrobili jakieś "warsztaty równościowe" czy coś w tym rodzaju. Okazało się jednak, że chodzi o sprofanowanie figury Chrystusa na krakowskim Przedmieściu, a także zawieszenie tęczowej szmaty na kilku innych ważnych pomnikach - między innymi Józefa Piłsudskiego, Wincentego Witosa, Mikołaja Kopernika czy warszawskiej Syrenki.

Media widząc, że cała sprawa nie przysporzy raczej sympatyków piewcom "tolerancji", postanowiły sprawę przemilczeć. Co prawda Onet opublikował tekst o "przyozdobieniu" figury Chrystusa tęczą flagą, ale poza tym raczej cisza. Portal na O. znany jest z tego, że zawsze walczy na

pierwszej linii frontu ideologicznego, tym bardziej znamienne jest, że poza tym jednym newsem, nie grzał tematu - redakcja słusznie zauważyła, że "Stop bzduram" przesadza z bezczelnością i czytelnicy Onetu nie są jeszcze gotowi na chwalenie takich wybryków, tym bardziej, że jest to portal skierowany do masowego odbiorcy i codziennie przeglądają go miliony Polaków, bardzo często odległych od lewicowo-liberalnej ekstremy, na wszystko jednak przyjdzie czas. Zauważmy jednak bardzo ważną rzecz. NIGDY nie spotkałem się z sytuacją, w której liberalna lewica, także ta najbardziej "umiarkowana" i mainstreamowa potępiała radykalnych harcówników. Zawsze ich chwala, usprawiedliwia, a kiedy już naprawdę przesadzą próbują niuansować sprawę, i jednocześnie zadbać, aby nie została przesadnie nagłośniona. Jest to taktyka całkowicie zrozumiała i słuszna, za kilka lat pewne rzeczy już nikogo nie będą szokowały. Harcównicy swoją bezczelnością badają teren, dzięki temu ci bardziej "umiarkowani" widzą na ile mogą sobie pozwolić, a granica społecznej akceptowalności coraz bardziej się przesuwają. Jeszcze dziesięć lat temu oczywistym było, że „gejostwo” jest obrzydliwe, pod żadnym pozorem nie można dać im dzieci. Dzisiaj poparcie dla tak zwanych "związków partnerskich" jest już powszechne, a i stosunek ludzi do adopcji przez tego typu pary staje się coraz bardziej przychylny. Teraz przypomnijmy sobie 11 listopada 2017 roku i wyciągnijmy wnioski. Paniczne odcinanie się i potępienie haseł Czarnego Bloku i słów rzecznika Młodzieży Wszechpolskiej. Widzimy jak na dłoni różnicę między zwycięzcami, a przegranymi, tymi, którzy chcą zmieniać świat, wierzą w swoje racje (jak błędne i szkodliwe by nie były) i zamierzają o nie walczyć, a tymi, którzy już przegrali, bojąc się łatki "faszystów", "radykałów", "rasistów". Właśnie dlatego ponosimy klęskę na wszystkich frontach. Odnośnie konserwatywnej i koliberalnej prawicy nie należy mieć złudzeń, to nasz wróg. Natomiast tak zwani "systemowi narodowcy" popełnili wszystkie błędy, jakie tylko mogli. Pokazali, że nie mają jaj i woli walki, a strona lewicowo-liberalna doskonale ten przekaz zrozumiała. Jedynym racjonalnym krokiem jaki mogli w listopadzie 2017 roku podjąć liderzy RN-u było stwierdzenie, że "w tych hasłach nie widzimy niczego złego,

naród to wspólnota organiczna, połączona wspólnym pochodzeniem, językiem, kulturą. Nie widzimy w Czarnym Bloku niczego co nawoływałoby do nienawiści czy propagowało totalitarne ideologie." Po drugiej wojnie światowej europejska prawica kapituluje na każdym polu, bojąc się samego posądzenia o "faszyzm", "rasizm" czy "radykałizm", ta sama choroba dotknęła też jej polskich przedstawicieli, niestety również ze skrzydła narodowego.

Trzeba jasno powiedzieć - im nie chodzi o tolerancję! Chcą narzucić wszystkim swój sposób myślenia. Owszem mogą płaczkliwie pisać, że "LGBT to ludzie, a nie ideologia", jednak widzimy, że ich działania mają na celu walkę z religią (to właśnie Katolicyzm jest w Polsce główną przeszkodą dla zmian obyczajowych, a mimo postępującej laicyzacji społeczeństwa Kościół zachowuje dość duże wpływy, z których niestety za bardzo nie korzysta, obierając taktykę defensywną), nieprzypadkowo ofiarą ostatniej prowokacji padła figura Chrystusa na Krakowskim Przedmieściu, nieprzypadkowo z taką lubością profanują wyjątkowo ważny dla Polaków wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej czy robią parodię Mszy św. na paradzie równości. Wiara ma szczególny wpływ na nasz naród, który dzięki niej nie uległ jeszcze ostatecznemu zepsuciu (choć proces ten postępuje w zastraszającym tempie).

Oni nie są tolerancyjni! Środowiska liberalno-lewicowe używają słowa tolerancja zamiast przecinka, jednak ich postawa jest jej całkowitym zaprzeczeniem. Jawnie głoszą nienawiść do wszystkich, którzy mają czelność nie zgadzać się z ich poglądami. Najjaskrawszy przykład widzieliśmy po niedawnych wyborach prezydenckich, kiedy odczłowieczali "bezrobotny Ciemnogród z Podkarpacia głoszący na Andrzeja Dudę". Pamiętamy nagranie z parady równości, że "stare kurwy muszą wymrzeć". To nie jest tolerancja.

Owszem, my też jesteśmy nietolerancyjni, ale jesteśmy w tym uczciwi. Jasno mówimy, że nie tolerujemy zła. Bez hipokryzji. Natomiast zadajmy sobie pytanie czy ich hipokryzja przeszkadza komukolwiek poza "radykalną prawicą"? Nie? No właśnie.

Chciałbym wyrazić nadzieję, że w końcu przesadzą i ludzie zrozumieją jak obrzydliwe są to środowiska. Jednak na to liczą jedynie naiwni, usłużne media zawsze wyciszą zbyt oczywistą przeginkę. Dlatego musimy podjąć rękawicę i zmobilizować naród do walki. Nasi przeciwnicy doskonale zdają sobie sprawę z tego, że obecnie trwa wojna. Wojna o kształt naszego społeczeństwa, które w ostatnich latach coraz bardziej zaczyna przypominać zdegenerowane społeczeństwa Zachodu, z których jeszcze niedawno się śmialiśmy. Dlatego konieczne jest, aby w końcu prawica, konserwatyści, katolicy zrozumieli, że nie bierzemy udziału w zwyczajnym sporze światopoglądowym, jesteśmy w stanie wojny. :Jeżeli tego sobie nie uświadomimy, za kilka lat polska prawica zacznie opowiadać się za "małżeństwami" jednopłciowymi, choć może jeszcze bez adopcji dzieci.

Tęczowa bezczelność jest nie tylko irytująca, jest przede wszystkim skuteczna. Radykalizm, bezkompromisowość, wola walki, przekonanie o swoich racjach, kreatywność, umiejętne granie kontrowersją pokazują normikom, że "ci goście są fajni, widać, że im zależy, są spoko", przede wszystkim jednak machina medialna, a także wielkie korporacje ułatwiają im walkę. Na takie wsparcie liczyć oczywiście nie możemy. Jednak analiza metod, bezkompromisowość, kreatywność i zapał nie kosztują.

Sześciobarwna tęcza jest bardzo ładna, ale tylko wtedy, kiedy płonie. W każdej innej sytuacji jest po prostu obrzydliwa. Naszym celem musi być uświadomienie społeczeństwu, że LGBTRTVAGD to nie biedna uciskana mniejszość, której zależy tylko na normalnym życiu bez prześladowań ze strony "faszystów" i katolickiego kleru. Że "gej" to nie miły celebryta czy sympatyczny bohater popularnego serialu. Musimy za wszelką cenę

nagłaśniać każdy przypadek pedofilii wśród homoseksualistów, każdą profanację, wszystko, co może zgorszyć i oburzyć. Chcąc ocalić w miarę normalne społeczeństwo musimy zozydzić przeciwnika, ukazać jego moralną degenerację, . Oczywiście musimy zadbać o wygląd tego przekazu, jego profesjonalizm, sprzyjające tęczowym media zrobią wszystko, aby każdego przeciwnika "postępu i tolerancji" przedstawić jako zdewociałego szura lub wstrętnego "nazistę". A jak doskonale wiemy systemowa prawica, także ta narodowa, nie jest zbyt chętna do pomocy. Choć narodowcy jeszcze mówią, że parady równości są złe (ogółowi prawicy już od dawna nie przeszkadzają).

Maksymilian Ratajski

Paweł Suchodolski - Przegrana dekada
2010-2020



Czy polscy nacjonałiści przegrali ostatnią dekadę? Nie sposób na to odpowiedzieć. Historyczne wydarzenia zmieniają się. Często spoglądamy z innego dystansu i widzimy je inaczej. Nie sposób odpowiedzieć czy przegrali, bo taką ocenę można wystawić po około kilkudziesięciu latach.

Jednak trzeba przyznać jedno. Była to na pewno dekada zmarnowanych szans. Dzisiejszy kryzys to skutek niewykorzystania szans. Gdy potencjalność zmierza ku kulminacji, a ta nie następuje, naturalne jest to, że entuzjazm i zaangażowanie opada.

Skutki kryzysu ruchu nacjonalistycznego w Polsce zazwyczaj diagnozowane są w identyczny sposób. Szczytowym przykładem jest mocno rozliczeniowy tekst redaktora naczelnego Grzegorza Ćwika. Wskazuje on w nim, że zabrakło nam:
- określenia celu, którym nie powinna być subkulturyzacją tylko dotarcie

- do przeciętnych obywateli,
- brak struktur mogących trwale działać,
- pogrążenie w wewnętrznych tematach, hermetycznych dla ludzi z zewnątrz,
- epatowanie symbolami zamiast realnymi działaniami.

Uważam, że powyższe tezy – powtarzane przez wielu innych publicystów, choć zazwyczaj w dużo gorszym stylu – są błędne i w zasadzie sprowadzają się do błędu „zielonej trawy u sąsiada”. Tak jakby autorzy tych pomysłów uwierzyli, że wystarczy zmienić wajchę o 180 stopni, skopiować działalność skrajnej lewicy i wszystko się uda? Wszystko? Tylko co?

Działalność lewicy w Polsce nie jest usłana różami – i nie chodzi tylko o możliwość sporadycznego napotkania narodowych wolontariuszy. Jeśli ktoś wierzy, że zbuduje duży sklep i sytuacja się zmieni to jest w błędzie, taki sklep może pozostać pusty. Dlaczego tak się stanie? O tym właśnie jest ten tekst.

Dlaczego nacjonalizm jest w (czasowym) odwrocie? Nie dlatego, że jest biedny, niezrozumiały przez normików albo zamienia się w subkulturę. Moja diagnoza jest następująca.

Pierwszą przyczyną braku znaczącego przełamania w dekadzie 2010-2020 było fakt, że osoby decyzyjne organizacji narodowych w tym czasie: głównie ONR i MW nie należały do kreatywnych, twórczych i gotowych do ciągłego wykreowania nowych koncepcji. Uczciwie trzeba przyznać – fakt upolitycznienia na jakiś czas kibiców piłkarskich prześladowanych przez ówczesny rząd – był jednym z kamieni milowych dla sukcesu ich marszu. Ale jak wykorzystali (zmarnowali) ten potencjał, to już zakrywa o pomstę do nieba.

Skupienie zainteresowania narodowców na historii czy też ekonomii spowodowało to, że postrzegali rzeczywistość w zbyt wąski sposób. Osoby

zainteresowanie historią uznały, że są one w stanie odczytać idealny model organizacyjny jakim ich zdaniem wypracowała przed wojenna endecja, powielić go dostosowując do dzisiejszych warunków i w ten sposób osiągnąć cel. Alternatywnie można powiedzieć, że gdy odnosi się sukces, trudno zmienić coś w sobie. Nacjonałści padli ofiarą tendencji, która proponuje redaktor naczelny. Zainteresowania wszystkimi, tylko nie sobą. Dużo złego przyniósł narodowy populizm w negatywnym tego słowa znaczeniu. Organizatorom manifestacji wygodniej było robić po raz piąty historyczne obchody jakiegoś tam wydarzenia, pokazać się w mediach, podebrać trochę chwały wychwalanym bohaterem. Na pytania dlaczego krzyczymy po raz kolejny hasła o sierpach i komunie, odpowiadali, że ludzie się zrażą i drugi raz nie przyjdą, a i ludzie nowych haseł nie znają i nie rozumieją. Redaktor naczelny mówi, żeby docierać do normików. Ale w jakim celu? Przecież nowych ruch polityczny powstaje na kontrowersji, dymach i dopiero po latach ukształtowania idzie w centrum. Wie to nawet Sławomir Mentzen, gdy opowiada dlaczego orkowie pobiją profesora Gwiazdowskiego. Moim zdaniem właśnie polscy nacjonałści za bardzo chcieli być z ludem, zamiast sprawić aby to ludzie chcieli być z nimi – poprzez swoją atrakcyjność, sprawczość i elitarność. Za bardzo obniżali standardy strasząc się, że „zwykli ludzie” (jakby gdziekolwiek tacy istnieli, zwłaszcza w 2020 roku) zrażą się do ich ruchu i nie będą go wspierać. A prawda jest taka: ludzi odpolitycznionych nie interesuje działalność polityczna, więc według mnie absurdalnie jest kierować do nich swoją główną działalność. Świetnie to wygląda podczas strajków ekonomicznych, gdy rozczarowana lewica odkrywa że związki zawodowe i pracownicy, których chciała wesprzeć aby ich przechwycić, w ogóle nie są zainteresowani niczym oprócz swojej podwyżki. Prawda jest też taka, nie zbudujemy nowego ruchu opierając się na anonimowych normikach. Ich zainteresować można będzie swoją działalnością w razie jakiegoś wielkiego kryzysu. Tu po prostu wykazuje się różnica pomiędzy mną a redakcją Szturmu, bowiem – jak pewnie zawodowi antyfaszyści byliby zdziwieni – Szturm zawsze był ultrademokratyczny. Podobnie mówiąc krótko, wbrew twierdzeniom red. nacz. Ćwika cel w poprzedniej dekadzie był wyraźnie

zaznaczony i społeczne oczekiwanie od liderów i osób decyzyjnych było szeroko manifestowane. Celem tym było obalić Republikę Okrągłego Stołu. To, że to nie udało się jest prostą przyczyną dzisiejszego kryzysu.

Tak jak już wskazywałem jedną z podstawowych przyczyn obecnego kryzysu jest to, że narodowi liderzy wielokrotnie zawiedli. Tutaj nawet nie chodzi o to, że zawiedli – bo każdy z nas ma chwile słabości i skłonności do powtarzania błędów. Jeszcze groźniejsze okazało się to, że im po prostu w pewnym momencie zabrakło pomysłów i kreatywności w ich kreowaniu i przeprowadzaniu. Bardziej opłacało się powtarzać utarty schemat. Ale jak to w życiu często bywa – kto nie idzie do przodu, odkrywa że nagle cofnął się.

Dlatego w tym kontekście tekst redaktora naczelnego jest o tyle nie trafiony, bowiem pomija powyższą diagnozę. My cofamy się do tyłu. Dlatego według mnie należy najpierw na nowo stworzyć poprawnie działający czwarty sektor, czyli to co w poprzednich latach nacjonalistom wychodziło.

Przechodząc po tym przydługim wstępie, przedstawiam moją diagnozę. Za nasz kryzys odpowiadają:

1. Liderzy, którym zabrakło woli, pomysłu i kreatywności aby w odpowiedni sposób zarządzać rozwijającym się ruchem.
2. Związana z powyższym archaiczna ideologia „neoendecji”, w której to podjęto karkołomną próbę wdrożenia ideologii powstałej w zupełnie innej epoce, do współczesnej, polskiej rzeczywistości politycznej. Nieatrakcyjna i nieodpowiadająca w żaden sposób na wyzwania współczesności ideologia jest jedną z przyczyn naszego kryzysu. Stąd postuluję otwarte zerwanie i odcięcie się od tradycji endecji, pozostawiając jej dzieje historykom. Wielokrotnie była już mowa na łamach Szturmu na temat archaiczności endecji z punktu widzenia współczesności. Ja bym pokrótce wskazał na poboczne zaszłości, które negatywnie wpływały na naszą rzeczywistość i

codzienny aktywizm. Jest to przede wszystkim „endecki realizm”, będący słowem wytrychem pod które można podstawić każde dowolne słowo. Po drugie to swoiste przekonanie – wynikające z genezy endecji XIX wieku, z którą nie mamy bezpośrednio nic wspólnego tak jak z budową piramid, iż nacjonalizm musi iść do ludzi, musi im się podobać, musi być ludyczny ergo ultrademokratyczny (nawet gdy przybiera ekstremistyczną symbolikę lub hasła itp). Swoiste warcholstwo, którego przedwojenna endecja była kontynuatorem w naszych dziejach, odbija się także we współczesnej działalności, zwłaszcza w momencie gdy nacjonalizm „konfederacyjny” poszedł otwarcie na współpracę ze środowiskami Korwina, nazywanymi się „wolnościowcami”.

3. Ostatnia przyczyna mogłaby anulować powyższe. Po prostu po 2015 roku nacjonaści samoczynnie zaniechali aktywnej działalności. Podstawą ruchu jest kreowanie wydarzeń, sytuacji. Gdy ich zaczyna brakować, gdy ruch staje się tylko reaktywny, siłą rzeczy słabnie i w końcu upada. Zamiast być awangardą, wykreować nową jakość pod rządami PiSu, ulice zostały oddane nowym, dziwnym lewakom, a przestrzeń kontestacji rządzącej partii. To jest najpoważniejsza wada i co najważniejsze – zależna wyłącznie od nas samych. Nacjonaści przestali robić to co do nich należało, chcąc stać się kolejnym klubem jagiellońskim, zamiast dalej działać w zakresie czwartego sektora. Wygasła pewna pasjonarność, która była nieodłączoną towarzyszką polskich nacjonalistów we wcześniejszych latach. Różne tego były powody: wsparcie rządzącej partii zwłaszcza na obszarze samorządów, która preferowała mniej radykalne środki wyrazu, zmęczenie materiału, brak kreatywnych i nowych pomysłów oraz środków wyrazu.

Jak rozwiązać problemy, które wskazał redaktor naczelny? Odpowiedź znajduje się w punkcie trzecim tego tekstu. Warto jeszcze dodać, że powstanie Szturmu to najlepsza rzecz jaka przydarzyła się polskiemu nacjonalizmowi w ostatniej dekadzie.

Paweł Suchodolski

Norbert Wasik - O duch dawnego
Zakopanego...



"Zakopane zmieniało skórę. Coraz bardziej stawało się paskudnym miasteczkiem, coraz więcej zjeżdżało pod Gubałówkę śmiecia ludzkiego. Cwaniactwo uderzyło mu do głowy. Jeżeli popłaca każda machloja, służąca "europeizacji" koślawej miejsciny, warto się pogłowić, by jakiś kant wymyślić. Zaczynamy żyć pod znakiem tandety" – pisał onegdaj proroczo w "Pępek świata. Wspomnienia z Zakopanego", malarz, rysownik, pisarz i felietonista, taternik, narciarz, popularyzator Tatr i sportu Rafał Malczewski.

Każdy kraj ma swoje specyficzne miejsca. Charakteryzują się one niepowtarzalnością bądź to położenia i krajobrazu, bądź to odmiennym typem mieszkańców niespotykanym na innych obszarach kraju, bądź to innym rysem kultury, przejawiającym się w lokalnej wytwórczości

materialnej i twórczości artystycznej. Jednym z takich miejsc w Polsce jest Zakopane.

Przed I wojną światową Zakopane określane było, jako „*polskie Ateny*” lub „*polski Piemont*”. Pojęcia te rozrosły się do gargantuicznych rozmiarów w latach międzywojennych, kiedy to w Zakopanem, na Podhalu i w Tatrach skupiały się, jak w soczewce wszystkie wady i zalety Polaków.

Zakopane już w czasach zaborów pełniło funkcję nie tylko urokliwie położonej góralskiej osady, ale przede wszystkim stało się nieformalną stolicą Polski. Było ważnym ośrodkiem życia turystycznego, artystyczno-kulturalnego, jak również, o czym warto pamiętać, politycznego². To tu spotykali się artyści i pisarze o znaczących dla polskiej kultury nazwiskach: Adam Asnyk, Henryk Sienkiewicz, Stanisław Witkiewicz, Władysław Stanisław Reymont, Joseph Conrad czy Stefan Żeromski³. Bywali tu również politycy, z odczytami przyjeżdżali takie tuby endecji jak: Jan Ludwik Popławski, Zygmunt Balicki, Roman Dmowski czy Wincenty Lutosławski⁴. Pojawili się również socjaliści: Gustaw Daniłowski, Tadeusz Gałęcki, Ludwik Krzywicki, Ignacy Daszyński, Kazimierz Kelles-Krauz, Jan Bielecki, Bolesław Jędrzejowski, Leon Wasilewski, Witold Jodko-Narkiewicz, Ksawery Prauss i piewca nacjonalizmu proletariackiego Stanisław Brzozowski⁵. Od roku 1900 regularnie w Zakopanem zaczął również bywać Józef Piłsudski⁶. Powoli Zakopane obok ośrodka turystycznego i artystyczno-kulturalnego stawało się także ważnym centrum prac niepodległościowych.

Jak wyżej zauważono, Zakopanego jako polityczna i duchowa stolica Polski funkcjonowało już za czasów zaborów. Jakoby z natury rzeczy samoistnie owa jego duchowość zaczęła niestety zanikać począwszy od II wojny

światowej, a kończąc na czasach nam współczesnych. W czasach, które chyba bezpardonowo zabiły duch dawnego Zakopanego.

Zakopane i Podhale zmieniają się z roku na rok w bardzo szybkim tempie. Przeglądając stare fotografie (choćby te z naszego dzieciństwa), widzimy krainę, której już nie ma, która odeszła na zawsze. Zmieniły się stroje, obyczaje, kultura. Ludzie też się zmienili. To, co pozostało niezmiennie to idea, pasja i miłość do gór, przekazywane z pokolenia na pokolenie. Pamiętam jak ponad 10 lat temu pisząc ZAŁOŻENIA PROGRAMOWE⁷ dla mojej onegdaj macierzystej lokalnej podhalańskiej organizacji, w podpunkcie „KULTURA” optowałem, aby podhalański nacjonalizm oparł się kulturotwórczo o, cyt.: „(...) *Rozwój wszelkich form działalności kulturalnej, pielęgnowanie i rozwijanie kultury i sztuki góralskiej, popularyzowanie osiągnięć naukowych i gospodarczych związanych z regionem, organizacją konferencji, seminariów, sympozjów*”. W tym samym programie głosiłem dezaprobatę dla wszelkiej brzydoty i wszechpanującego, nie tylko na Skalnym Podhalu konsumpcjonizmu. Twierdziłem również, że, cyt. „*Zakopane jako wizytówka Podtatrza wymaga wzmożonej pracy na rzecz powrotu atmosfery dawnego kurortu będącego niegdyś kulturalną stolicą Polski i centrum polskich sportów zimowych. (...)*”. Jestem przekonany, że rolę podhalańskich nacjonalistów – notabene nie tylko ich, bo wielką powinnością i dojrzałością powinny wykazać się tu zwłaszcza samorzady (niemniej właśnie w tym zagadnieniu upatruję szanse dla lokalnych podhalańskich środowisk narodowych) – jest działalność, która wprost i dobitnie, że nie powiem radykalnie, da jasny wyraz sprzeciwu dla miernoty, bezguścia, komercji i merkantylizmu panujących w zasadzie już na całym Podhalu. Długo nie myśląc – czy też mówiąc wprost – można to czynić chociażby poprzez rozwój wszelkich form działalności kulturalnej, pielęgnowanie i rozwijanie tej prawdziwej (nie tej rodem z USA czy Chin!) kultury i sztuki góralskiej, czy chociażby popularyzowanie np. w architekturze stylu witkiewiczowskiego zwanego czasem także zakopiańskim.

Gdy człowiek spogląda na te stare fotografie, a później na część współczesnych ulic, nieoczekiwanie dostrzega, że jednak nie wszystkie zatraciły duch i urok dawnego Zakopanego. Tak jakby czas się na nich zatrzymał. Niestety ów czar zachowały tylko niektóre uliczki zimowej stolicy Polski. Większość to już tandeta. Z wysoką kulturą Zakopane kojarzone jest rzadziej niż kiedyś. Miasto nadal boryka się m.in. z zalewem tandetnych pamiątek. Od lat niechlubną wizytówką miasta są stragany na Gubałówce i pod Wielką Krokwią. Bazar pod najśłynniejszą polską skocznią zyskało nawet miano "*bangladeszu*" i stanowi dla miasta wizytówkę podobną do Stadionu Dziesięciolecia, który długo straszył w Warszawie. Jego usunięcie bądź uporządkowanie jest trudne, bo budki z pamiątkami i grillowiska stoją na prywatnych działkach. Pewnym sukcesem zakończyły się natomiast próby wprowadzenia parku kulturowego na Krupówkach, dzięki czemu ze ścian i chodników znikają wszechobecne reklamy. Warto zwrócić uwagę, że podobne rozwiązania wprowadziła w tym roku również gmina Kościelisko sąsiadująca bezpośrednio z Zakopanem. Jednak przepisy dotyczące uporządkowania przestrzeni nie wyeliminowały do końca problemu. Niestety nie spodobały się one niektórym zakopiańskim przedsiębiorcom i właścicielom kamienic przy głównej ulicy miasta. Dlatego też w tym miejscu nadal zobaczyć możemy automaty i maszyny do gier, które już dawno powinny z tego terenu zniknąć.

Zakopane zupełnie zatraciło swój charakter, bo przecież było to miasto domów jednorodzinnych, willi, rozproszonej zabudowy w dużych ogrodach. Zwykli mieszkańcy, ale też architekci, artyści, przewodnicy tatrzańscy, których wielu jest w Zakopanem - każdy z nich powiedziałby,

że są miejsca które powinny być priorytetowo chronione, a jednak wciąż nie ma takiego myślenia. Jest za to punktowe wrzucanie obiektów gdzie komu się uda, czym większy i brzydszy tym lepiej, byle tylko można było na nim szybko zarobić. Rządzi pieniądz, brak wiedzy, wyobraźni i poczucia estetyki. Ludzie nie zdają sobie sprawy jak dziś wielką krzywdę czynią następnym pokoleniom. Ci, co przyjdą po nas, zastaną inne, na pewno nie kurortowe miasto.

Zakopane jako wizytówka Podtatrzaka wymaga wzmożonej pracy na rzecz powrotu atmosfery dawnego kurortu będącego niegdyś kulturalną stolicą Polski i centrum polskich sportów zimowych. Niestety w Zakopanem wciąż niewiele, a jeśli już to bardzo powoli, się zmienia. Ba, wydaje się, że z roku na rok problemy się tylko pogłębiają. Ale kto wie, może kiedyś miasto to odzyska swoją dawną świetność sprzed dwóch wielkich wojen, a samo Zakopane ponownie stanie się stolicą duchową i kulturalną Polski, nazywaną tak jak dawniej „polskimi Atenami” i „polskim Piemontem”. Oby! Bo jak pisał syn twórcy stylu zakopiańskiego (Stanisława Witkiewicza), Witkacy (Stanisław Ignacy Witkiewicz), „*Mimo całej pozornej nieużyteczności Zakopane trwać będzie dalej*”⁸. Warto już dziś o tym pamiętać podziwiając piękno folkloru podhalańskiego i architekturę stylu zakopiańskiego, wnętrza, sztukę ludową, meble i rękodzieła, które przecież sprawiają, że historia Zakopanego oraz kultura góralska wydają się wciąż fascynujące. Wszak stosunek do tradycji sprawia, że folklor podhalański nie jest ani muzealny, ani stylizowany, ale wciąż prężny i mieniący się bogactwem różnorodnych form kultury i sztuki góralskiej. W nich to właśnie wypowiada się najpełniej żywiołowa i bogata natura górali – ludzi od wieków zżytych z polskością i górami, z surową, pełną grozy przyrodą i czerpiących z ich obrazu, ze skalistej ziemi, soki dla swej egzystencji i twórczości.

Folklor podhalański, przy licznych zmianach, przekształceniach i inspiracjach, mimo ekspansji współczesnej cywilizacji z różnymi skutkami próbuje wciąż zachowywać swoją autentyczność, żywołość i – co chyba najważniejsze – spontaniczność. Ten pietyzm dla tradycji przekazywanej z pokolenia na pokolenie wyraża się w zachowaniu gwary, stroju ludowego, tańców i śpiewów, które nieprzerwanie towarzyszą góralom zarówno na co dzień, jak i od święta. Czy w Zakopanem, czy nieco szerzej, całym Skalnym Podhalu wciąż będziemy odnajdywali region, gdzie świadomość polskości i odrębności kulturowej będzie silna, a tradycja prastarych obyczajów pieczołowicie pielęgnowana zleży nie tylko od włodarzy państwa, samorządów, ale również nas samych. Pamiętajmy już dziś, że bez tradycji nowoczesność jest niczym.

Norbert Wasik – dumny mąż i ojciec. Absolwent Kolegium Jagiellońskiego - Toruńskiej Szkoły Wyższej. Manager związany z sektorem FMCG. Publicysta, działacz społeczny i narodowo-radykalny. Biegacz amator i fan długich dystansów, pasjonat historii, gór, górali i góralszczyzny. Idealista, romantyk i pragmatyk w jednej osobie, entuzjasta innowacji i nowych technologii.

PRZYPISY:

1. R. Malczewski, Pepek świata. Wspomnienia z Zakopanego, Łomianki 2011 r.,

2. A. D. Sznapiak, *Tatrzańska Arkadia. Zakopane jako ośrodek artystyczno-intelektualny od około 1880 do 1914 roku*, Warszawa 2009 r.,
3. M. Olszewska, *Spór o przyszłość literatury polskiej, czyli polemiki ze Stefanem Żeromskim po jego odczycie Literatura a życie polskie*, Poznań 2019 r.
4. I. Homola, *Od wsi do uzdrowiska*, [w:] *Zakopane. Czterysta lat dziejów*, pod. red. R. Dutkowej, Kraków 1991 r.,
5. A. Garlicki, *U źródeł obozu belwederskiego*, Warszawa 1983 r.,
6. L. Dall, *Józef Piłsudski w Zakopanem*, „Wierchy” 1999 r.,
7. N. WASIK, *Założenia programowe Stowarzyszenia Obóz Narodowo-Radykalny Podhale*, Zakopane, 2 stycznia 2011 r.
8. M. Pinkwart, *Wariat z Krupówek Demonizmu Zakopanego*, ” wydawnictwo Wagant 2015 r.

Oleś Wawrzkowicz - Bądź wierny. Idź



Nasze miejsce jest na zewnątrz, nawet jeśli, być może, przejdziemy mimochodem przez tamto. Nasze miejsce jest na wolnym powietrzu, pod czystym nocnym niebem, z bronią w ręku i na wysokości, w gwiazdach. Niech inni zajmują się nadal swoimi ucztami. My, na zewnątrz, w napiętej czujności, żarliwej i niezawodnej, już przeczuwamy brzask w radości naszych dusz. [José Antonio Primo de Rivera].

Powyższe słowa zapewne idealnie oddają stan naszego ducha, który we współczesnym zmaterializowanym świecie po prostu się dusi, chwytając łapczywie ostatnie świeże powietrze. Współczesny świat, pełen strzelistych wieżowców, pięknych domów, setek pubów i kawiarni, nowoczesnej kompozycji łączącej szkło z żelazem jest *de facto* ułudną maską obróconej w gruzy cywilizacji. Naszej cywilizacji.

Niszczycielski, materialistyczny golem przy wsparciu demoliberalnych *czarnoksiężników* usypia w narodach to co do niedawna kształtowało i determinowało działanie człowieka zachodu, człowieka cywilizacji. Współcześnie świadome jednostki są niczym tolkienowskie obleżone Minas Tirith, które oblegane z każdej strony, z rozpaczą wyglądają odsiecz, bądź chwili wytchnienia w obliczu nieustającego szturm.

Prymat ducha, został unicestwiony, a nasze życie zmienione w naoliwione trybiki wielkiej maszyny. Dlaczego przegrywamy? Ponieważ Zachód przestał wierzyć. Nasz kontynent porzucił naszą tradycję, kulturę i cywilizację. Ku niebu przestały wspinać się piękne katedry, romańskie i gotyckie budowle, a spuścizna antyku nie zachwyca już swoją trwałością i prostą wspaniałością. Boskie ołtarze zamieniono na laickie świątynie galerii handlowych, parki rozrywki, czy lady barów z piwem. Europejczyk przestał się zachwycać antyczną poezją, średniowiecznymi poematami, pismami mistrzów filozofii, które zostały zastąpione przez lekturę programu telewizyjnego bądź dziesiątek memów z popularnych portali rozrywkowych. Samodyscyplina odeszła w niepamięć, a z nią hierarchia oraz wymazane ze świadomości pojęcie cnoty. W zamian książęta tego świata dali nam chaos, anarchię i fałszywą wolność. *Róbta co chceta*. Etos pracy, godnego pochwały wysiłku i samodoskonalenia się jest nie do przyjęcia przez *homo modernus*, jako zbyt wielkie wymagania, wręcz nie do udźwignięcia. Zamiast patrzeć w niebo, mamy oczy skierowane w dół, w ekran smartfonów. Zamiast klęczeć przed Bogiem, klęczymy przed mamoną. Zamiast pomagać bliźniemu, rzucamy mu kłody pod nogi. Lecz tym co najgorsze jest to, że poddajemy się bardzo łatwo współczesnym manipulatorom, panom tego świata, którzy grają na naszych emocjach jak tylko chcą, tworząc kompozycję końca ery ludzi zachodu. Zagięło w nas także krytyczne spojrzenie, przez co staliśmy się ogołoconymi z naszej zbroi i tarczy zwykłymi włóczykijami, którzy odwiedzają miasto za miastem w poszukiwaniu zaginionego złotego runa.

Lecz każdy dzień jest dla nas polem bitwy. Nie mówię tu o fizycznej walce, lecz walce duchowej, która wydaje się najbrutalniejsza ze wszystkich. Aby zwyciężyć musimy przejść przez tę pustynię zwątpienia, bagno rozpacz i las pełen zwodniczych zasadzek. To w takich chwilach hartuje się nasz duch, który wymaga stałego doskonalenia, abyśmy w chwili próby nie zawiedli siebie, ani innych. Dyscyplina, która jest naszą tarczą winna nam ciążyć nie jako ciężar, lecz jako niezawodna obrona. Pięknie by było kiedy przyjdzie nam złożyć meldunek przy końcu życia,

powtórzyć za José Antonio: *Za parę chwil stanę przed Boskim Sędzią, który zobaczy moje roześmiane oczy. Czy chwila, której z jednej strony oczekujemy, a z drugiej się lękamy nadejdzie szybko, czy też dane nam będzie czekać do końca? Jedno jest pewne w obliczu wyzwania, zobaczymy na ile nas tak naprawdę stać. Ile jesteśmy warci. Cara al Sol bracia!*

czuwaj – kiedy światło na górach daje znak – wstań i idź dopóki krew obraca w piersi twoją ciemną gwiazdę

*powtarzaj stare zaklęcia ludzkości bajki i legendy
bo tak zdobędziesz dobro którego nie zdobędziesz
powtarzaj wielkie słowa powtarzaj je z uporem
jak ci co szli przez pustynię i ginęli w piasku*

*a nagrodzą cię za to tym co mają pod ręką
chłostą śmiechu zabójstwem na śmietniku*

*idź bo tylko tak będziesz przyjęty do grona zimnych czaszek
do grona twoich przodków: Gilgamesza Hektora Rolanda
obrońców królestwa bez kresu i miasta popiołów.*

[Zbigniew Herbert]

Oleś Wawrzkowicz

Oleś Wawrzkowicz - Koncepcje przemian społeczno- gospodarczych w doktrynie politycznej generała Charlesa de Gaulle'a



Ostatni Wielki Francuz: taki tytuł biografii Charlesa de Gaulle'a nadał Charles Williams. Według autora tej książki gen. de Gaulle był typowo romantycznym bohaterem *w klasycznym tych słów rozumieniu*. [1] Dla współczesnych badaczy historii Francji i Europy jest on postacią wymykającą się jednoznacznym ocenom. Stał on się symbolem zaskakującej sprzeczności losów powojennego ładu europejskiego, które mogłyby się wydawać z jednej strony dążyły do powszechnego pokoju i ustrojowej demokratyzacji, w myśl zasad liberalnej polityki, a z drugiej strony pozostawał ostoją dla konserwatywnych i autorytarnych rządów takich jak chociażby ustrój narodowo- katolickiej Hiszpanii generała Francisco Franco, portugalskie *Estado Novo* prof. Antonio Salazara, czy w pewnym sensie także gaullistowskie *Etat- Nation*, którego emanacją stała się V Republika Francuska.

Tym co zaważyło na politycznej działalności Generała była jego młodość oraz wychowanie rodzinne. Śmiało można nazwać go *wytworem dziewiętnastowiecznej, prowincjonalnej północy Francji: surowy katolik, monarchista i nacjonalista*. [2] Jednakże nacjonalizm

urodzonego w Lille, przyszłego szefa państwa francuskiego, był pozbawiony całego spektrum materialistycznych dogmatów nacjonalizmów o zabarwieniu totalitarnym i pogańskim.[3] Doktrynalny gaullizm uważał iż naród francuski poprzez swoją rozwiniętą kulturę ma do spełnienia misję dziejową mającą na celu odnowę duchową kontynentu europejskiego. Według de Gaulle'a, Francja w 1940 roku poniosła klęskę nie tylko fizyczną, ale i duchową, stąd odrodzenie kulturowe Francji i powrót do jej wielkości miało ponieść za sobą podniesienie się całego kontynentu. Kolejnym ważnym aspektem działalności Generała stało się (*de facto* legitymizując jego władzę) oparcie na doświadczeń historycznych, czyli częstych odwołaniach do epoki bonapartyzmu i okresu II Cesarstwa Napoleona III Bonaparte. Dzięki tym analogicznym odniesieniom, de Gaulle wskazywał na konieczność budowy silnego, zintegrowanego oraz scentralizowanego państwa, z niezależną polityką zagraniczną podporządkowaną nadrzędnemu interesowi narodu francuskiemu. [4]

Rządy de Gaulle'a, które śmiało można nazwać „rządami silnej ręki” nie stały się jednak typowym ustrojem autorytarnym na wzór tych przedwojennych, czy wyżej wspomnianych iberyjskich dyktatur, ponieważ w ramach proklamowanej V Republiki de Gaulle postawił na scentralizowaną demokrację, która wyrażała się w woli powszechnej społeczności, stając się reinterpretacją wyżej wspomnianych rozwiązań ustrojowych zaczerpniętych z okresu II Cesarstwa. Myśl i idea polityczna doktryny stworzonej przez Generała była wewnętrznie zróżnicowana ideologicznie. Jednak jej głównymi składnikami były umiarkowany i konserwatywny nacjonalizm, wymieniony już plebiscytarny demokratyzm oraz poczucie jedności narodowej. Tym co spajało ten szeroki ruch był autorytet i osoba de Gaulle'a. [5] W sferze społecznej gaullizm zakładał hierarchizację, której zasady na pierwszym miejscu stawiały poczucie narodowe (będące najbardziej powszechnym czynnikiem autoidentyfikacji), a dopiero w dalszej kolejności status zawodowy (który określał powinności względem wspólnoty narodowej), prezentowane

poglądy polityczne oraz przynależność do danej partii, czy grupy społecznej. [6] W ideologii prezentowanej przez de Gaulle'a, można doszukać się także wpływów myśli maurrasowskiej, która podobnie jak gaullizm miała charakter antyparlamentarny, antyliberalny i antypartyjny oparty na silnej władzy głowy państwa, z tą różnicą że Maurras widział Francję jako monarchię (nacjonalizm integralny), a de Gaulle jako republikę. [7] Różniło ich także podejście do wiary katolickiej, które u Maurrasa było bardziej instrumentalne, co nie zmienia faktu, że pewne, istotne elementy doktrynalne u obu francuskich polityków są wyraźnie dostrzegalne. [8] W zakresie gospodarki polityka gen. de Gaulle'a miała opierać się głównie na własności prywatnej. Sektor gospodarczy będąc podporządkowany celom nadrzędnym narodu francuskiego podlegał jednak interwencji władz, która zarezerwowała sobie możliwość ingerencji celem regulacji rynku.

Poglądy gospodarcze de Gaulle'a nie były jednolite. Począwszy od 1944 roku ulegały stopniowej ewolucji. Kiedy we wrześniu 1944 roku powołano rząd jedności narodowej generał w ogólnym zarysie zdefiniował program ekonomiczny, który miał zaimplementować. Co ciekawe większość postulatów posiadała zabarwienie jednoznacznie socjalistyczne, tak jak min. udział w zarządzaniu przedsiębiorstwami przez pracowników; nacjonalizacja kopalń, elektrowni i gazowni oraz wielkich przedsiębiorstw jak chociażby Renault. Postulował także zniesienie prywatnych monopolii, które jego zdaniem *bardzo zaciążyły nad losem rodaków i nad polityką państwa [9]*, co w połączeniu z socjalnymi programami prorodzinnymi stworzyło program iście socjalistyczny. Obok ww. postulatów de Gaulle proponował wzmocnienie roli rodziny oraz zapewnienie jej bezpieczeństwa, możliwości rozwoju i wychowywania dzieci. Ten mariaż programowy dał początek teorii etatyzmu gospodarczego i społecznego w doktrynie gaullistowskiej.

Po powrocie do władzy w 1958 roku, de Gaulle postanawia naprawić katastrofalny stan gospodarki, ryzykownym planem Rueffena, który opierał się na liberalnej doktrynie ekonomicznej. Z jednej strony ograniczał on wydatki rządowe i zadłużenie państwa a z drugiej podwyższał podatki oraz ułatwiał handel międzynarodowy. Plan okazał się z początku sporym szokiem dla społeczeństwa francuskiego. Negatywne skutki społeczne były jednak krótkotrwałe, ponieważ obok drakońskich obostrzeń szły inwestycje rządowe w przemysł zbrojeniowy, nuklearny oraz raketowy i elektroniczny. De Gaulle działał długofalowo, nie interesowały go wyniki obliczone na tylko kolejne wybory. Dzięki temu nie bał się zastosować ryzykownych działań takich jak min. aprobata dla planu francuskiego ekonomisty Jana Monneta, z którego pomysłu zrodziła się Komisja Planowania, która miała na celu planowanie pewnych zasad w gospodarce jako całości. Jak się później miało okazać plan ten zaważył na dalszych losach gospodarki francuskiej. Dalsze reformy de Gaulla zahamowała jego dymisja w 1946 roku. Jedną z głównych przyczyn tej decyzji była spora polaryzacja społeczeństwa oraz parlamentaryzm, który skutecznie blokował nowatorskie i zmierzające do umocnienia władzy prezydenta reformy. Nie do przecenienia był także fakt iż szczególnie w pierwszych latach po wojnie nadal silną pozycję posiadała partia komunistyczna, która miała swoje oparcie w stworzonych do walki z Niemcami oddziałach partyzanckich.

Koncepcja rządów de Gaulle'a skryształizowała się już w połowie lat 40 XX wieku. Zważając na niedawny koniec wojny i pokojowe dążenia (w myśl liberalizacji polityki wewnętrznej i zewnętrznej) krajów europejskich, wizja gaullistowskiego ustroju jawiła się dość rewolucyjnie. Generał zakładał m.in. wyłonienie w wyborach powszechnych izby niższej, która z kolei byłaby organem nadrzędnym wobec izby wyższej, składającej się z delegatów rad regionalnych i miejskich oraz przedstawicieli organizacji ogólnokrajowych. [10] Władza wykonawcza spoczywałaby w rękach prezydenta, który byłby wyłaniany przez kolegium obu izb oraz delegatów z terytoriów zamorskich. Prezydent miałby prawo powoływać i odwoływać

rząd. [11] De Gaulle wiedział, że wobec oporów opozycji realizacja tej koncepcji jest niemożliwa, stąd powołane w 1947 roku Zgromadzenie Narodu Francuskiego, które *de facto* miało zmobilizować stronników generała stając się zaczątkiem ruchu politycznego. To właśnie w początkowym okresie aktywności politycznej ujawniła się koncepcja z jednej strony wodzowska- autorytarna, a z drugiej demokratyczna. Gaullizm będąc antypartyjnym, antyliberalnym i antyparlamentarnym był oparty na zasadzie suwerenności ciała wykonawczego, będąc również demokratycznym, ponieważ naród jest w nim uznany za źródło władzy, podczas gdy „szef państwa”/ wódz- jest mandatariuszem z woli narodu. W przypadku generała dochodzi także jego pozycja, jako wodza Wolnych Francuzów w czasie II wojny światowej, legitymizująca jego predyspozycje do sprawowania funkcji „szefa”. W wizji tej parlament francuski w stosunku do poprzedniego systemu ma zmniejszone uprawnienia, lecz pozostają one nadal realne i nie pozbawione wolności i demokracji. [12] Zręczne zabiegi w wynikaniu generała i jego stronników przyniosły zamierzony efekt, gdy *gotowy wziąć odpowiedzialność za Republikę* generał, 1 czerwca 1958 roku objął funkcję premiera z pełnią władzy, kończąc tym samym trwanie IV Republiki francuskiej.

Program premiera de Gaulle’a był odpowiedzią na wysoki i stale rosnący deficyt budżetowy, wysoką inflację oraz niski stan rezerw złota i dewiz. Jako działania naprawcze przewidziano min. obniżenie dotacji dla deficytowych firm państwowych, podwyżkę akcyzy na papierosy i alkohol oraz wzrost cen prądu i gazu. [13] Zapewne gdyby poddać powyższe postulaty pod debatę parlamentarną spotkałyby się ze sprzeciwem kół socjalistycznych i komunistycznych, lecz de Gaulle zabezpieczył sobie ten manewr na wspomniany już okres 6 miesięcy, przez które sprawował niepodzielnie i nie podlegającą dyskusji władzę. Widać w tej koncepcji rozwiązania rodem z antycznego Rzymu, gdzie *extraordinarius* sprawował przez okres maksymalnie sześciu miesięcy władzę absolutną, aby zapobiec kryzysowi i wyprowadzić kraj z

chaosu. Prawną analizę tego rozwiązania w ujęciu XX wiecznych realiów politycznych jak i legalizacji ustroju dyktatorskiego przeprowadził wybitny konstytucjonalista Carl Schmitt, który uważał iż *Państwo musi się podporządkować prawom rozwoju gospodarczego, poza tym może wszystko. [...] Do tego momentu konieczne jest jednak panowanie oświeconego autorytetu, który w razie potrzeby ukończy dzieło wychowania ludu środkami przymusu, a jego działania usprawiedliwia cel wychowawczy.* [14] Ze względu na społeczne doświadczenia wojenne, de Gaulle nie mógł sięgnąć po pełnię władzy, jednakże pierwszy etap rządów V Republiki można śmiało nazwać ukrytym autorytaryzmem. Generał swój „chrzest” polityczny, czyli objęcie funkcji prezydenta postrzegał jako potwierdzenie swojego gallikanizmu, na nowo zdefiniowanego „sojuszu tronu i ołtarza”. Jednocześnie co było paradoksem pierwszy raz u steru Republiki francuskiej stał praktykujący katolik, który w pełni szanował laicki charakter państwa. Jego wybór budził aprobatę i entuzjazm ze strony Stolicy Apostolskiej oraz niepokój wśród antyklerykałów, którzy na fali powojennej laicyzacji ponownie dochodzili do głosu. Jednakże wbrew obu tym stronom, de Gaulle, *ostatni chrześcijański król* [15], zrezygnował z pompatycznych uroczystości religijnych, na co z kolei naciskało wielu hierarchów Kościoła Katolickiego, ograniczając się do prywatnego charakteru wyznawanej przez niego wiary.

Generał widział Europę jako wspólnotę narodowych i suwerennych państw, opartych na wartościach helleńsko- rzymskiej i chrześcijańskiej cywilizacji. Francja w *L'Europe des Etats*, według de Gaulle'a miała powrócić na utracone miejsce jednego z mocarstw europejskich i odbudować swoją potęgę. Tak więc wizja posłannictwa kulturalno- cywilizacyjnego Francji w koncepcji generała wpisywała się w powyżej przytoczone rozważania Schmitta. Gaullistowskie państwo, to państwo silne, nie wahające się interweniować w gospodarkę, działalność społeczną i kulturalną. Według generała gospodarka będąca w większości w rękach prywatnych ma być podporządkowana celowi nadrzędnemu- mocarstwowemu dążeniu ogółu narodu francuskiego. Co

ciekawe dążenia mocarstwowe przejawiały się także w polityce zagranicznej, w której to szczególny nacisk kładziono na francusko-niemieckie zbliżenie. [16] W ogólnym ujęciu polityki zagranicznej, de Gaulle prowadził politykę niezależności od USA, dążąc do zbudowania potęgi militarnej Francji, podczas gdy na kontynencie europejskich, szczególnie dla Niemiec, Stany Zjednoczone były sojusznikiem koniecznym, będącym gwarantem zabezpieczenia przed agresją radziecką. Obu przywódców (de Gaulle i Adenauer) uważało jednak, że postawa amerykańskiego sojusznika jest niepewna, a więc naturalną alternatywą był sojusz francusko-niemiecki, w którym to Francja miała odgrywać rolę pierwszorzędną. *Związane przyjaźnią państwa naszego kontynentu staną się elementem równowazącym dla dwóch mocarstw; trzeci podmiot, pilnujący reguł, ustabilizuje światowy układ polityczny.* [17] Zapoczątkowana w Colombey-les-Deus-Eglises przyjaźń francusko-niemiecka miała być pierwszym krokiem mającym na celu zrównoważenie hegemonii dwubiegunowego podziału Europy, podczas gdy tym *trzecim podmiotem* miała stać się francuska V Republika. [18] Owocem rozmów stał się podpisany 22 stycznia 1963 roku tzw. Traktat Elizejski. Finalnym skutkiem polityki Charlesa de Gaulle'a względem Niemiec miało być wyciągnięcie ich spod wpływów USA, co w zamyśle powinno wydzwignąć Europę do rangi równej Stanom Zjednoczonym i Związki Radzieckiemu. Jednak władze RFN nie miały zamiaru odciąć się od pomocy USA, które było dla nich jedynym gwarantem obrony przed ZSRR. Mimo tego Traktat Elizejski zakończył trwającą od kilku wieków rywalizację i wzajemną niechęć między Francją a Niemcami, stając się protoplastą późniejszych inicjatyw integrujących państwa europejskie. Polityka de Gaulle'a względem Niemiec okazała się pragmatyczną grą, która przyniosła wymierne korzyści Francji, jak i całej Europie, wpisując się w gaullistowską wizję europejskiego ładu opartego na tradycjach imperium galijsko-germańskiego, w ramach którego koniecznym było rozwiązanie problemu niemieckiego, będącego problemem *europejskim już od czasów rzymskich.* [19]

Odnowa państwa francuskiego, według de Gaulle'a, powinna przebiegać według trzech etapów. Pierwszym i najważniejszym z nich powinna być nowa konstytucja, której koncepcję generał zawarł w swoich pamiętnikach:

Otóż o ile byłem przekonany, że suwerenność należy do narodu z chwilą gdy wypowiada się on bezpośrednio i w swojej całości, o tyle uważałem za niedopuszczalne, by mogły ją dzielić między siebie reprezentujące poszczególne interesy partie polityczne. Oczywiście, partie powinny były, zdaniem moim, przyczynić się do wyrażania opinii poszczególnych odłamów społeczeństwa, a tym samym do wyboru deputowanych, którzy by potem w ciałach przedstawicielskich rozpatrywali i uchwalali ustawy. Po to jednak, żeby państwo, zgodnie ze swym powołaniem, było narzędziem francuskiej jedności, nadrzędnego interesu kraju i ciągłości działania narodowego, uważałem za konieczne, by rząd był powoływany nie przez parlament, inaczej mówiąc przez partie, lecz by go wyznaczył stojący ponad nimi szef państwa, wybrany przez cały naród jako jego bezpośredni mandatariusz i będący dzięki temu w stanie przejawiać swą wolę, decydować i działać. [20] Kolejnym krokiem były wybory do parlamentu, które przyniosły porażkę dla ugrupowań lewicowych i socjalistycznych, potwierdzając tym samym skuteczną działalność polityczną stronników de Gaulle'a, którą w realiach polskich nazwalibyśmy „pracą u podstaw”. Dopełnieniem tego marszu przez instytucje był wybór generała na stanowisko prezydenta z bardzo rozległymi uprawnieniami wykonawczymi.

Tak zabezpieczona władza dawała de Gaulle'owi możliwość przeprowadzenia daleko idących reform. Reforma gospodarcza miała na celu stabilizację finansową ram gospodarki, otwierając ją na rynek zagraniczny. Sytuacja ta miała na celu także rozwój własności prywatnej oraz modernizację i inwestycje w sektor zbrojeniowy. De Gaulle

wprowadził Francję na drogę technicznego postępu oraz postępującego uprzemysłowienia gospodarczego. Jako potwierdzenie słuszności programu można przytoczyć statystyki, w których to w 1960 roku dochód narodowy wzrósł o 7,9%, w 1961 r. o 4,6% a w 1962 r. o 6,8%. [21] Tendencję wzrostową zahamował dopiero konflikt algierski, w wyniku którego znacząco wzrosła inflacja, lecz nie zahamował on realnego wzrostu gospodarczego.

Gaullistowska polityka europejska stała pod znakiem twardych warunków dyktowanych przez szefa V Republiki, które nie raz spotykały się z ostrym sprzeciwem i podejrzliwością przywódców i polityków pozostałych państw europejskich. [22] Mimo wszystko Generał dążył do zacieśnienia współpracy oraz porozumienia wśród państw europejskich, czego naczelnym przykładem była współpraca z Niemcami. Bez wahania można powiedzieć, że głównym architektem wtłoczenia Niemiec w nurt polityczno- gospodarczy Europy był właśnie de Gaulle. Polityka gaullistowska względem wschodniego sąsiada skutecznie zneutralizowała ewentualne zagrożenie niemieckie. Ponadto nie bez zastrzeżeń, choć ostatecznie wcielone w życie zostały postanowienia Traktatu Rzymskiego. Jak już zostało to wyżej wspomniane działania Charlesa de Gaulle'a w kwestiach integracji europejskiej cechował pragmatyzm. Generał aprobował korzystne dla narodu francuskiego rozwiązania, lecz odrzucał te które według niego były dla Francji nie korzystne.

Generał de Gaulle uważał, iż Francja powinna prowadzić aktywną i ukierunkowaną na przyszłość politykę zagraniczną. Wypracował on własną koncepcję polityki zagranicznej, która z jednej strony opierała się na zasadach *Realpolitik*, a z drugiej na dbaniu o interesy jego narodu. Generał uważał iż Francja ma do odegrania misję dziejową, tą samą, którą zapoczątkował Karol Wielki. Jako, że los powojennej Francji nierozzerwalnie związał ją z losami całej Europy gaullistowska republika

nie mogła stać na uboczu wobec zachodzących w niej zmian. Wizja mocarstwowej Francji została jednak w latach 60-tych zweryfikowana przez brak potencjału ekonomicznego oraz skomplikowaną sytuację gospodarczą we Francji. De Gaulle do końca myślał w ramach doktryny państw narodowych. Według niego bez nich nie będzie Europy. Likwidacja granic państwowych, zniesienie odrębności i różnic kulturowych i tożsamościowych doprowadziłoby do cywilizacyjnego upadku, a politycznie do rządów ponadnarodowego organu politycznego, nad którym w rzeczywistości nikt nie sprawowałby kontroli. W 1969 roku wobec wyników referendum szef państwa- Charles de Gaulle podał się do dymisji. Jego misja wydzwignięcia Francji do roli mocarstw światowych okazała się niepowodzeniem, choć w późniejszych latach politycy gaullistowscy aktywnie włączyli się w dalsze procesy integracyjne zachodzące w Europie. [23]

Według jemu współczesnych, de Gaulle, był uważany za polityka nieprzewidywalnego, wytrawnego gracza, do końca trzymającego w ręce swoje karty. Jednocześnie parł on do przodu realizując swoją politykę, niepomny na utyskiwania po każdej ze stron parlamentarnych frakcji. Zawsze podkreślał rolę chrześcijaństwa w budowaniu tożsamości narodowej Francuzów, jednocześnie zdając sobie sprawę z laickiego charakteru społeczeństwa francuskiego nie był w kwestiach religijnych człowiekiem narzucającym innym swój światopogląd, choć po gruntownej analizie jego postulatów widać w nich ślady katolickiej nauki min. Papieża Leona XIII czy Piusa X (szczególnie w sprawach społecznych i gospodarczych). [24] Z czasem postulaty generała stały się niezgodne z postępującą rewolucją kulturowo- społeczną, która najmocniej uwidoczniła się podczas manifestacji znanych pod nazwą „paryskiego maja 1968 roku”. Młodzież, szczególnie akademicka, protestowała przeciwko autorytarnym rządom generała de Gaulle'a. To właśnie wtedy pojawiło się słynne hasło- *De Gaulle, t'es foutu, les Français sont dans la rue*, co oznacza: *De Gaulle, już po tobie, Francuzi są na ulicach*. Konsekwencją wystąpień paryskich było późniejsze rozwiązanie organizacji lewicowych i

anarchistycznych, w tym założonej przez Daniela Cohn-Bendita „Ruchu z 22 marca”. Tym razem udało się jeszcze ostudzić społeczne nastroje, lecz konserwatyzm obyczajowy i przywiązanie do religii katolickiej, które do tej pory dawały Francuzom gwarancję spokoju i poczucie bezpieczeństwa, wobec redefinicji dotychczasowych wartości społecznych stawały się nieaktualne. Działalność polityczną generała de Gaulle’a trafnie podsumowuje tytuł rozdziału książki Charlesa Williamsa- „nowa polityka”, bo właśnie ta „nowa polityka” zrewolucjonizowała dotychczasowe ujęcie ustrojowe V Republiki, dając początek przyszłym nurtom politycznym życia francuskiego, które wywodził się wprost z gaullizmu.

Oleś Wawrzkowicz

Bibliografia:

Bardy, *Charles de Gulle. Biografia katolika i męża stanu*, Warszawa 2012,

Ch. Williams, *Ostatni Wielki Francuz*, Warszawa 1997,

Gerhard, *Charles de Gaulle*, Warszawa 1975,

Gedymin, *Charles de Gaulle i Konrad Adenauer charyzmatyczne przywództwo w czasach próby. Dalekosiężne konsekwencje polityczne i gospodarcze ustrojowych inicjatyw*, Warszawa 2016,

Ch. de Gaulle, *Pamiętniki nadziei. Odnowa 1958- 1962*, Warszawa 1974,

Szeptycki, *Francja czy Europa? Dziedzictwo generała de Gaulle'a w polityce zagranicznej V Republiki*, Warszawa 2005,

Clarke, *1000 lat wkurzania Francuzów*, Warszawa 2012,

Budzanowska, *Charles Maurras- twórca nacjonalizmu integralnego*, Kraków 2014,

Bartyzel, B. Szlachta, A. Wielomski, *Encyklopedia polityczna. Tom 1*, Radom 2007,

Schmitt, *Dyktatura. Od źródeł nowożytnej idei suwerenności do proletariackiej walki klas*, Warszawa 2016.

www.teologiapolityczna.pl

[1] Ch. Williams, *Ostatni Wielki Francuz*, Warszawa 1997, s. 9.

[2] *Ibidem*, s. 18.

[3] Tym co powstrzymało de Gaulle'a od nacjonalizmu typowo rasistowskiego prezentowanego chociażby przez kolaboranckie państwo Vichy, była wiara katolicka, która potępiała tak zdefiniowany nacjonalizm. Etnicznie, a więc rasowo pojmowany naród został potępiony także w encyklice Papieża Piusa XI pt. *Mit brennender sorge*, w której to Papież potępił pogańskie tendencje niemieckiego totalitaryzmu oraz ideę

wyższości rasy i państwa jako niezgodne i stojące w jawnej sprzeczności z nauką Kościoła.

[4] Ch. Williams, *Ostatni Wielki Francuz*, Warszawa 1997, s. 19.

[5] J. Bartyzel, B. Szlachta, A. Wielomski, *Encyklopedia polityczna. Tom 1*, Radom 2007, s. 106.

[6] Ibidem, s. 106.

[7] Ojciec Charlesa, Henri de Gaulle, był pod wrażeniem Action Francaise, która promowała bliskie mu wartości takie jak: porządek, tradycja, monarchia, katolicyzm i patriotyzm. Według Ch. Williamsa te wartości, które przez pół wieku kształtowały francuskie społeczeństwo, wpłynęły znacząco na Charlesa de Gaulle'a. [w:] Ch. Williams, *Ostatni Wielki Francuz*, Warszawa 1997, s. 342. Generał otwarcie przyznawał iż czytał Maurrasa, szczególnie podzielając jego pogląd na rewolucję francuską, która według niego była „początkiem równi pochyłej upadku Francji”.

[8] Charles Maurras uważał iż jedynym możliwym ustrojem jest nacjonalizm integralny, który zakładał (pozornie sprzeczne ze sobą) połączenie nacjonalizmu z rojalizmem. Głównym założeniem tej ideologii była silna władza monarchy, która miała na celu zaspokojenie aspiracji i potrzeb narodu francuskiego. Monarcha w myśli doktryny Maurrasa, miał przypominać władzę dyktatorską w stylu I poł. XX w. [w:] A. Budzanowska, *Charles Maurras- twórca nacjonalizmu integralnego*, Kraków 2014, s. 180. Jest to analogiczne z myślą gaullistyczną, która źródło władzy, czyli „szefa” uważała za jedynego mandatariusza narodu.

[9] O. Gedymin, *Charles de Gaulle i Konrad Adenauer charyzmatyczne przywództwo w czasach próby. Dalekosiężne konsekwencje polityczne i gospodarcze ustrojowych inicjatyw*, Warszawa 2016, s. 25.

[10] O. Gedymin, *Charles de Gaulle i Konrad Adenauer charyzmatyczne przywództwo w czasach próby. Dalekosiężne konsekwencje polityczne i gospodarcze ustrojowych inicjatyw*, Warszawa 2016, s. 31.

[11] Generał zwykł mawiać: *Kiedy chcę wiedzieć, co myśli Francja, zadaję to pytanie sobie samemu*. [w:] S. Clarke, *1000 lat wkurzania Francuzów*, Warszawa 2012, s. 448.

[12] Według Krzysztofa Tyszki- Drozdowskiego: *Gaullizm to po prostu odświeżone „idee napoleońskie”* [w: <https://teologiapolityczna.pl/europa-de-gaulle> dt. 16.07.2020]

[13] O. Gedymin, *Charles de Gaulle i Konrad Adenauer charyzmatyczne przywództwo w czasach próby. Dalekosiężne konsekwencje polityczne i gospodarcze ustrojowych inicjatyw*, Warszawa 2016, s. 46- 47.

[14] C. Schmitt, *Dyktatura. Od źródeł nowożytnej idei suwerenności do proletariackiej walki klas*, Warszawa 2016, s. 21.

[15] G. Bardy, *Charles de Gaulle. Biografia katolika i męża stanu*, Warszawa 2014.

[16] W dążeniu do mocarstwowej dominacji możemy doszukać się w gaullizmie tradycji kolbertyzmu, czyli merkantylistycznej i protekcjonistycznej polityki ekonomiczno- gospodarczej, które etatyzm gospodarczy jest jednym z narzędzi ingerencji państwa w gospodarkę, która niejako „pracuje” dla państwa.

[17] Krzysztof Tyszka-Drozdowski, *Europa de Gaulle'a*, <https://teologiapolityczna.pl/europa-de-gaulle>, 2019.12.17.

[18] *Oui, c'est l'Europe, depuis l'Atlantique jusqu'à l'Oural, (...) c'est toute l'Europe, qui décidera du destin du monde* tł. Tak, to Europa, od Atlantyku po Ural, (...) to cała Europa zadecyduje o losach świata. Przemówienie do mieszkańców Strasburga z 23 listopada 1959 roku.

[19] A. Szeptycki, *Francja czy Europa? Dziedzictwo generała de Gaulle'a w polityce zagranicznej V Republiki*, Warszawa 2005, s. 65.

[20] Ch. de Gaulle, *Pamiętniki nadziei. Odnowa 1958- 1962*, Warszawa 1974.

[21] O. Gedymin, *Charles de Gaulle i Konrad Adenauer charyzmatyczne przywództwo w czasach próby. Dalekosiężne konsekwencje polityczne i gospodarcze ustrojowych inicjatyw*, Warszawa 2016, s. 60.

[22] *Do współistnienia dojdzie ale nie będzie ono szczere. Będziemy mieli wymiany wizyt, baletów, spotkań piłki nożnej i ekip sportowych. W tym czasie Rosjanie będą się rozwijać pod względem ekonomicznym i iść naprzód... Zachód skonstruuje własne współistnienie, ale to, pozbawione myśli przewodniej, nikogo nie zadowoli. Europa będzie wegetować.* [w:] J. Gerhard, *Charles de Gaulle*, Warszawa 1975, s. 85.

[23] W ostatnich latach swoich rządów de Gaulle, widząc fiasko swoich koncepcji, powiedział w wieczornym wystąpieniu, iż *przed nami jeszcze dużo, bardzo dużo pracy.* [w:] Ch. Williams, *Ostatni Wielki Francuz*, Warszawa 1997, s. 383.

[24] Papież Leon XIII, dostosowując się do sytuacji ustrojowej w Europie, jako pierwszy Papież opowiedział się za ustrojem republiki francuskiej. W późniejszym czasie poparcia dla generała udzielił Papież Pius XII.